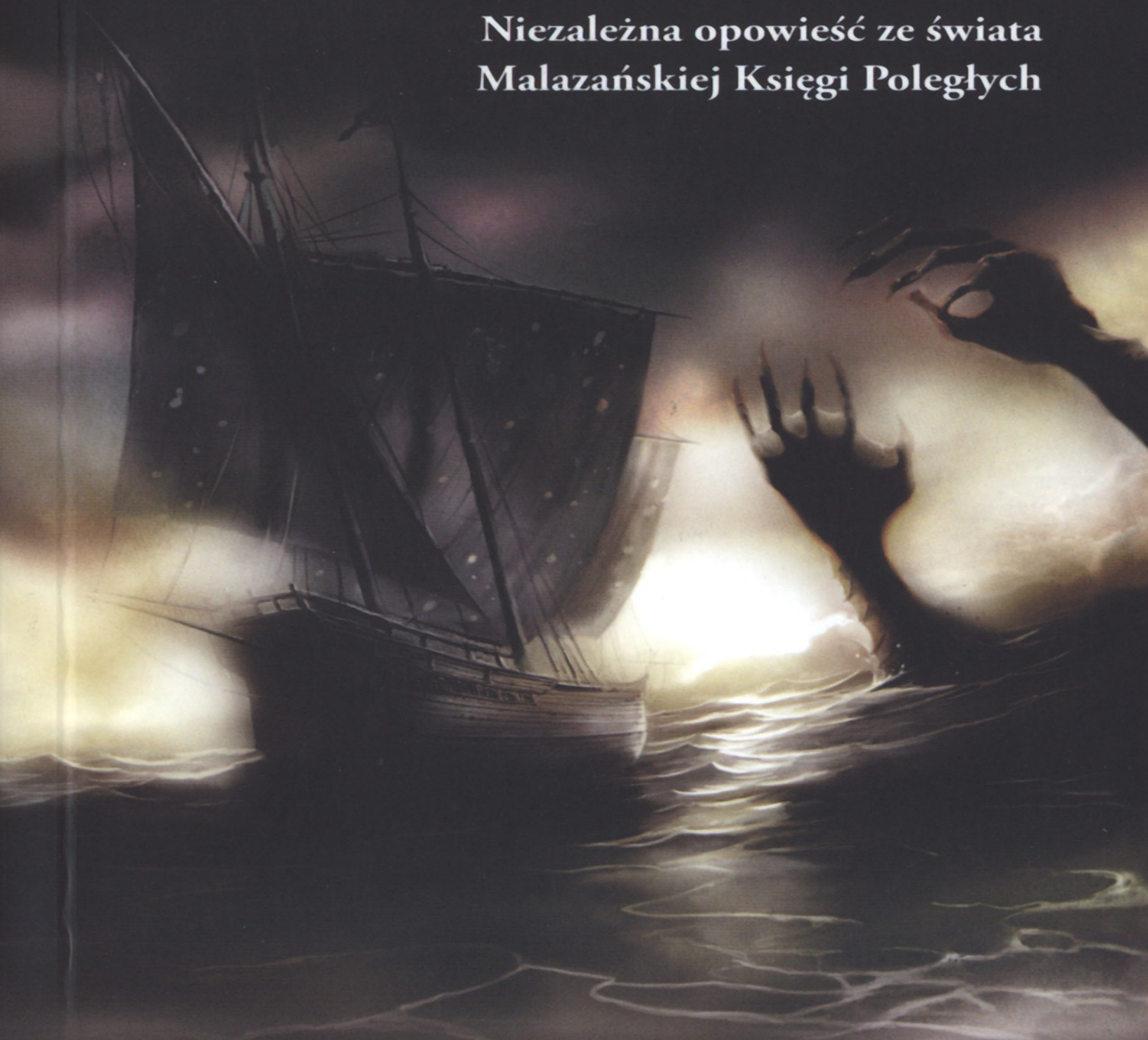


Steven Erikson

MEY KOŃCA SMIECHU

Niezależna opowieść ze świata
Malazańskiej Księgi Poległych



STEVEN ERIKSON

MĘTY KOŃCA ŚMIECHU

opowieść o BAUCHELAINIE I
KORBALU BROACHU



PRZEKŁAD: MICHAŁ JAKUSZEWSKI

Tytuł oryginału: Lees of Laughter's End

Tłumaczenie: Michał Jakuszcwski

Copyright © 2007 by Steven Erikson

All rights reserved

Copyright © by Instytut Wydawniczy Mag, 2008

978-83-7480-094-5

Wydawnictwo: Mag

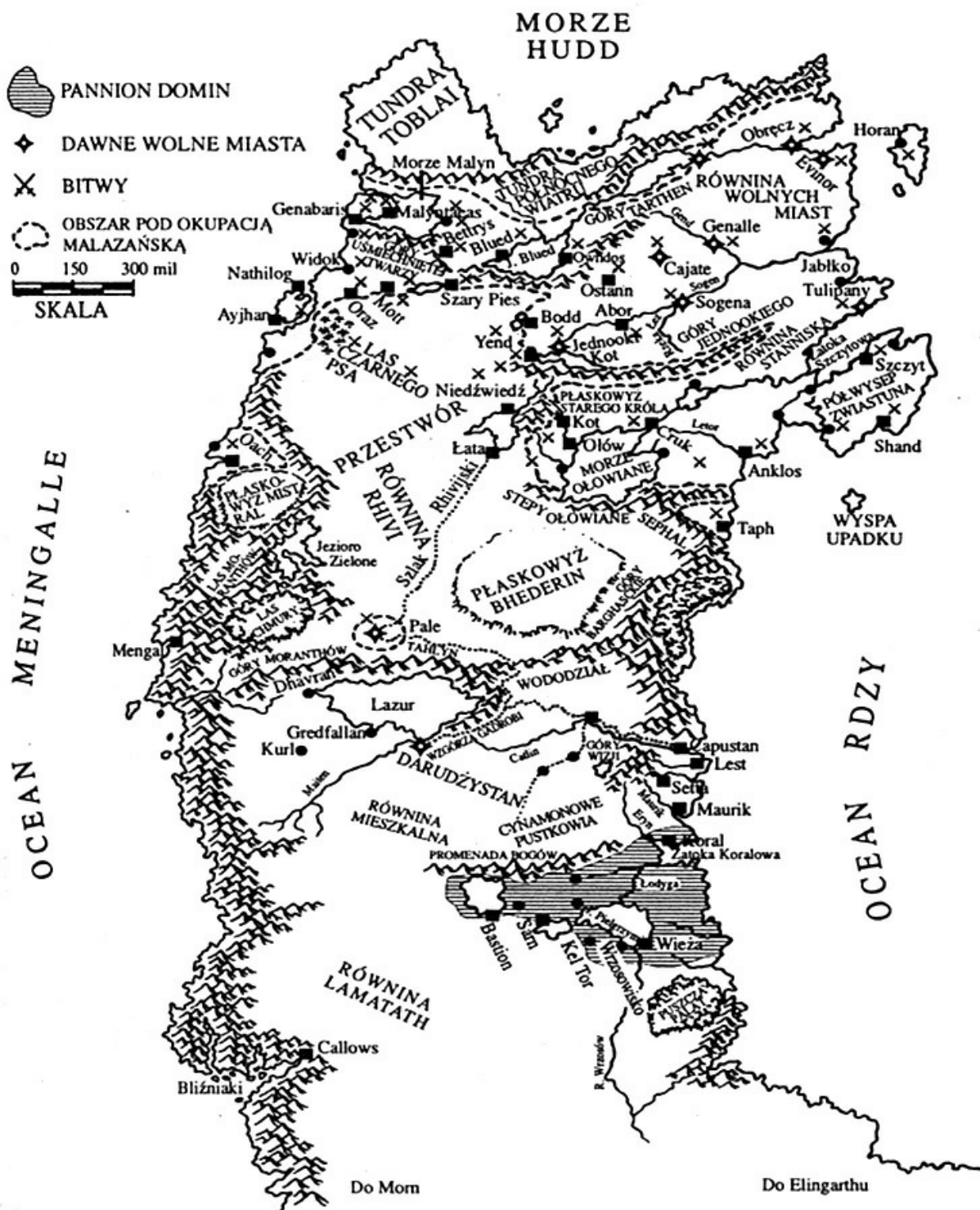
e-mail: handel_mag.com.pl

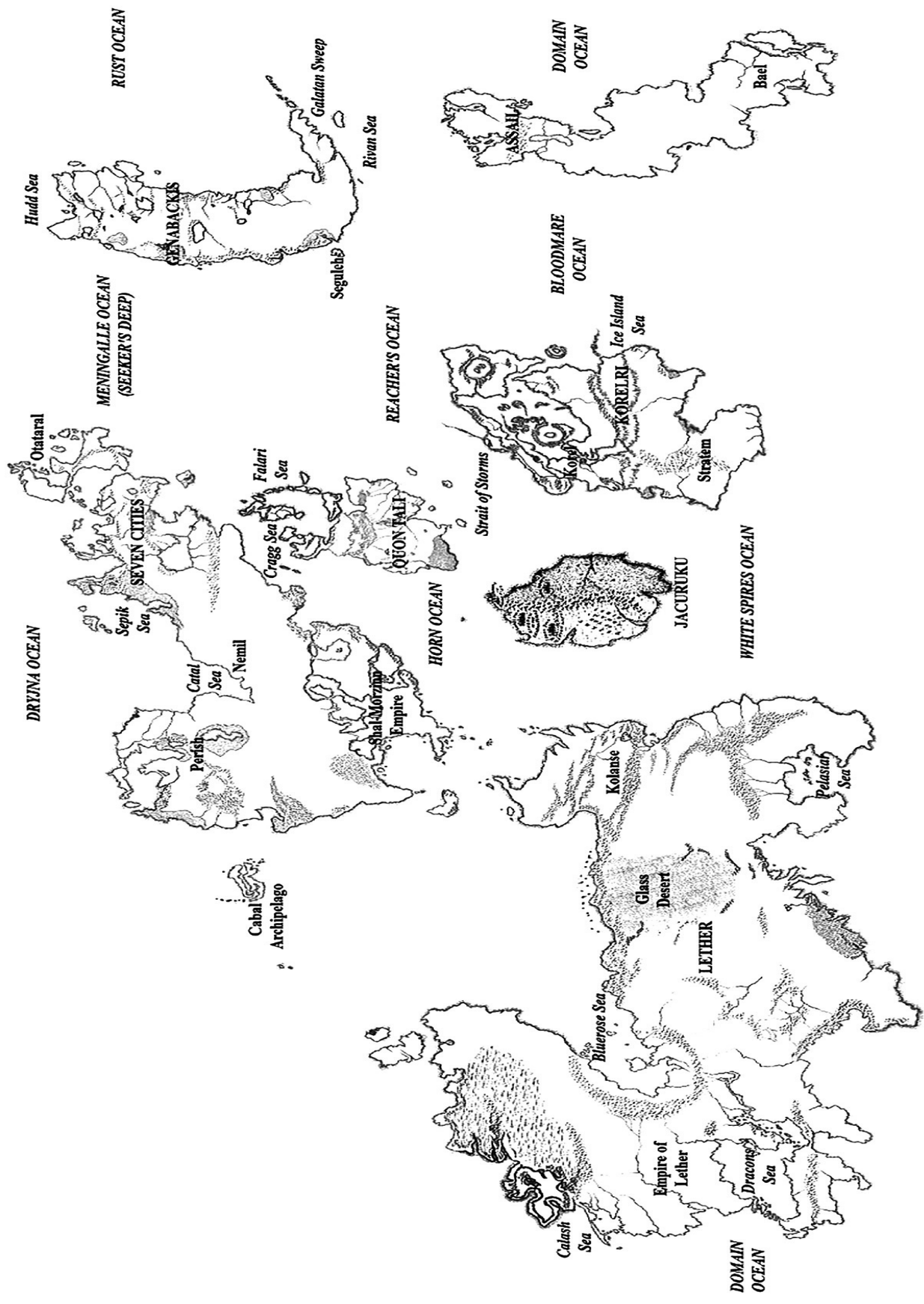
mag.com.pl

Oficjalny sklep www.mag-sklep.pl





GENABACKIS:

malazańska kampania około 1160 snu Pożogi





GENABACKIS: The Malazan Campaign ca.1160 Burn's Sleep

-  PANNION DOMIN
-  PREVIOUS FREE CITIES
-  BATTLES
-  MALAZAN OCCUPATION

SCALE
0 50 100 leagues

MENINGALLE OCEAN



NG



RUST OCEAN

To Morn

To Elingarth

MĘTY KOŃCA ŚMIECHU



Na zachód od Kradzieży Cieśnina Dziesięciny wychodzi na Pustkowie, szeroką połąć oceanu, na którą zapuszczają się jedynie żądni przygód oraz lekkomyślni, niebezpieczne szlaki morskie ciągnące się aż po Czerwoną Drogę Końca Śmiechu i dalej, ku wyspom Seguleh oraz południowemu wybrzeżu Genabackis, gdzie kraina Lamatath oferuje niepewny azyl piratom, utracjuszom, rzadko się tam zapuszczającym kupcom oraz wszechobecnym statkom pielgrzymów Upadłego Boga.

Tylko kapitan Sater i być może również jej pierwszy oficer, Cwany Roztropek, wiedzieli, co skłoniło wolny statek *Słoneczny Lok* do opuszczenia bezpiecznych wód Korelu i Kradzieży. Ciekawość zdolna popchnąć człowieka do snucia spekulacji na podobne tematy mogła pochwycić duszę z siłą fali odpływowej. Tak przynajmniej matka zawsze powtarzała Benie swym irytującym, ochrypłym szeptem, a Bena nie należała do tych, którzy zatykają uszy, gdy ktoś udziela im sensownych rad.

Przynajmniej dopóty, dopóki matka nadal jej towarzyszyła, rzecz jasna. Jej brzmiały jak szum fal i świst wiatru głos nigdy nie cichł na długo. Bena znała jego ostrzegawcze gwizdki, cierpkie pohukiwania i drwiące jęki równie dobrze, jak muzykę własnego serca. Siwe włosy matki wciąż jeszcze tańczyły na wietrze, sięgając ku młodej, gładkiej i – jak mawiano daleko w dole – kuszącej twarzy dziewczyny, która jak zwykle przykucnęła na bocianim gnieździe, kierując spojrzenie młodzieńcych oczu na zachodnie Pustkowie. Pośród białych grzywaczy nie widziała ani jednego żagla, patrzyła jednak z uwagą, albowiem jej gorzkim obowiązkiem było ostrzeżenie załogi, że zbliżają się do złowrogich, ciemnych jak krew wód okolic Końca Śmiechu.

Minął już pełen tydzień, odkąd opuścili maleńki, ciasny port Smętnej Laluni. Nocami Bena słyszała, jak marynarze pod pokładem rozmawiają szeptem o swych narastających obawach, skarżą się na ciągłe skrzypienie gwoździ w kojach i grodziach, na dziwne głosy słyszalne w ładowni i za mocnymi, dębowymi drzwiami skarbcza, choć przecież wszyscy wiedzieli, że nie ma tam nic poza ekwipunkiem pani kapitan oraz zapasem rumu dla załogi, a Sater jest jedyną osobą, która ma dostęp do zębatego klucza otwierającego wielki, żelazny zamek. Z pewnością też w odpowiedzi na te wszystkie wydarzenia każdej nocy z chwilą nadejścia najczarniejszego dzwonu każdy marynarz utaczał do pucharu trzy krople cennego płynu ze skaleczonego kciuka.

Czyżby w Smętnej Laluni na statek dostała się jakaś klątwa? Mael wiedział, że pasażerowie, których wzięli tam na pokład, nie mogli przynieść ze sobą nic dobrego. Szlachcic ze spiczastą bródką i zimnym, pustym spojrzeniem. Rzadko oglądany na pokładzie eunuch, jego towarzysz, a także ich lokaj, sam Niefartowny Mancy, który – jak się dowiedziała – zostawił za sobą więcej wraków niż Jeźdźcy Sztormu. Tak przynajmniej mówili marynarze.

A kysz, przekłęci goście – mamrotała raz po raz matka Beny, gdy *Słoneczny Lok* zbaczał o rumb albo dwa z właściwego kursu. Bena kuliała się trwożnie, kiedy maszt się trząsał, pochylał i kołysał, a wiklinowy kosz bocianiego gniazda przechylał tak bardzo, że czasami, spoglądając w górę, widziała morskie fale.

Wiatry są narowiste, droga córko, a ci goście, ach, tylko spójrz na tę wronę, która leci za nami, trzepocząc czarnymi skrzydłami, a przecież od stu pięćdziesięciu mil, gdy zostawiliśmy za sobą Kamyczki, nigdzie nie było nawet kawałka rafy. A mimo to ten pomiot demona wciąż leci za nami, czarny jak żałoba! Popatrz na tę wronę, kochanie, i nie pozwól, żeby zrobiła sobie gniazdo w twoim koszu!

Bena jeszcze nigdy, od czasu gdy dzieliły ze sobą bocianie gniazdo, nie

słyszała, by jej matka zawodziła tak długo. Wyciągnęła rękę i pogłaskała ją po siwych włosach. Na spalonym słońcem, pokrytym skorupą soli skalpie nad zapadniętymi ślepyimi oczyma zostało tylko parę pasemek.

Przytul mnie, dotrzyмай mi towarzystwa tej nocy, kochana córko, bo przed nami ciemne jak krew morza Końca Śmiechu, gdzie gwoździe wypowiedzą swe straszliwe słowa. Trzymaj się, słodkie dziecko, naszego maleńkiego domku wysoko nad pokładem. Wyssiemy do sucha ostatnie mewie jaja, będziemy się modliły, by deszcz przyniósł ulgę naszym gardłom, i oto zakrzykniesz z zachwytu, ujrawszy, jak znowu puchnę i dojrzewam, kochanie. Przytul mnie mocno, dotrzyмай mi dziś towarzystwa!

Wreszcie, daleko na zachodzie, Bena ujrzała to, co przepowiedziała jej matka. Krwawą żyłę. Koniec Śmiechu. Odchyliła mocno głowę i wydała z siebie przeszywający krzyk, by oznajmić tym na dole, że długo oczekiwana chwila wreszcie nadeszła. Potem zakrzyknęła jeszcze raz: *Błagam, przyślijcie proszę na górę kolejne wiadro z jedzonkiem i porcję rumu, nim zapadnie noc!*

I wszyscy zginiecie – dodała w myśli.

* * *

Gdy bezsłowny, zwierzęcy wrzask siedzącej na bocianim gnieździe Beny Młodszej wreszcie wybrzmiał, pierwszy oficer Cwany Roztropek wgramolił się na pokład rufowy i stanął przed panią kapitan.

– Dotarliśmy do ciemnej krwi tylko z jednodniowym opóźnieniem – oznajmił. – Przy tym wiatyku, który nam przeszkadzał po drodze, to całkiem niezły wynik.

Kapitan Sater nie skomentowała tego ani słowem. Zaciskała dłonie na kole sterowym.

– Te dhenrabi dalej za nami płyną – podjął po chwili Roztropek. – Ale one kierują się na Czerwoną Drogę, tak samo jak my. – Nadal nie otrzymał odpowiedzi. Podkradł się bliżej. – Myślisz, że wciąż nas ścigają? – zapytał cicho.

– Roztropek, jeśli jeszcze raz mnie o to zapytasz, wytnę ci język – odparła z grymasem złości na twarzy.

Wzdrygnął się, a potem pociągnął za brodę.

– Przepraszam, kapitanie. No wiesz, to nerwy...

– Zamknij się.

– Tak jest.

Pograżył się w milczeniu. Miał nadzieję, że jest ono kojące, i po pewnym czasie doszedł do wniosku, że z pewnością tak właśnie jest. Gdy tylko poczuł się pewniej, nasunęła mu się myśl, że jakiś inny temat może okazać się łatwiejszy do przełknięcia.

– Im prędzej pozbędziemy się Mancy’ego ze statku, tym lepiej. Pech siedzi mu na kolanach. Tak przynajmniej mówią majtkowie, którzy zaciągnęli się w Smętnej Laluni. Nawet na Szlakach Kobylańskich słyszałem o...

– Daj mi nóż – rozkazała kapitan Sater.

– Słucham?

– Nie chcę, żeby mój pobrudził się krwią.

– Przepraszam, kapitanie! Pomyślałem sobie...

– Tak jest, pomyślałeś. Na tym właśnie polega problem. Jak zwykle.

– Ale ta sprawa z Mancym...

– Jest głupia i nie ma znaczenia. Zabroniłabym załodze o tym mówić, gdyby to mogło coś dać. Lepiej by było zaszyć wszystkim usta. – Ściszyła niebezpiecznie głos. – Nic nie wiemy o Szlakach Kobylańskich, Roztropek. Nigdy tam nie byliśmy. Nie dość ci, że w Smętnej Laluni wygadałeś, że przyływamy ze Stratemu? To całkiem, jakbyś naszczał na pieniek, żeby zostawić trop dla tych, którzy nas ścigają. A teraz posłuchaj mnie, Roztropek. Uważnie, bo nie mam zamiaru tego powtarzać. Równie dobrze mogli wynająć całą flotę kobylańskich piratów, a w takim przypadku ściga nas coś znacznie gorszego niż kilkadziesiąt samców dhenrabiego poszukujących partnerki. Jedno słówko o tym, że Kobylanie mogą nas poszukiwać, i

będziemy mieli bunt. Jeśli usłyszę jeszcze kiedyś od ciebie coś w tym rodzaju, natychmiast poderżnę ci gardło. Czy mam powiedzieć to jaśniej?

– Nie trzeba, kapitanie. Wyraziłaś to bardzo jasno. Nigdy nie byliśmy na Szlakach Kobyłańskich...

– Zgadza się.

– Ale tych troje, którzy przyłączyli się do nas, ciągle opowiada o tych szlakach i naszym rejsie po nich.

– Nieprawda. Znam ich dobrze. Lepiej niż ciebie. Trzymają gęby na kłódkę. Jeśli wszystko się wydało, to z pewnością przez ciebie.

Cwany Roztropek zaczął się pocić na serio. Pociągał nerwowo za brodę.

– Może i kiedyś o tym wspomniałem. Raz byłem nieostrożny, ale to już się nie powtórzy, kapitanie. Przysięgam.

– Jeden raz w zupełności wystarczy.

– Przepraszam, kapitanie. Może uda mi się ich przekonać, że jestem kłamcą. No wiesz, będę im opowiadał różne niestworzone bajdy, przesadne opowieści i tak dalej. Znam taką historię z Bagna Głębi, w którą nikt by nie uwierzył!

– Oni może by nie uwierzyli – odparła powoli. – Ale tak się składa, że wszystko, co w życiu słyszałeś o Bagnie Głębi, to czysta prawda. Wiem coś na ten temat. Przez pewien czas byłam osobistą strażniczką tamtejszego faktora. Nie, Roztropek, zapomnij o tym pomysle z kłamcą. Twój problem nie polega na tym, że gadasz za dużo, ale na tym, że do tego jesteś głupi. Szczerze mówiąc, to cholerny cud, że jeszcze żyjesz, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że troje moich przyjaciół musi co noc wysłuchiwać twojego gadania. Jeśli ja cię nie zamorduję, zapewne zrobią to oni. To znacznie skomplikowałoby sytuację, bo musiałabym skazać na śmierć któregoś ze swych najdawniejszych towarzyszy, albo nawet całą trójkę, za zabójstwo oficera. Zważywszy wszystko razem, powinnam cię natychmiast zdegradować.

– Proszę, porozmawiaj z nimi, kapitanie! Zapewnij ich, że nigdy już nie

odezwę się ani słówkiem! Przysięgam na plwocinę Maela, kapitanie!

– Roztropek, gdyby nie fakt, że ty jeden z nas wiesz, który koniec statku wskazuje stronę, w którą płyniemy, już dawno byłoby po tobie. A teraz znikaj mi z oczu.

– Tak jest!

* * *

– Kucharz jest poetą – oznajmiła Cętkowana Ptaszyna, siadając naprzeciwko przyjaciela.

Heck Urse skinął głową, ale nie odezwał się ani słowem, bo miał usta pełne jedzenia. W kambuzie było niewielu ludzi, a Heck, Ptaszyna i Podmucha Piasta nie lubili tłoku. Podmucha jeszcze się nie zjawił, oprócz ich dwojga był tu więc tylko jeden człowiek. Siedział na osobnej ławie, wpatrując się w pełną żarcia michę, jakby próbował wyczytać z gęstej papki swoją przyszłość albo coś w tym rodzaju. Heck był przekonany, że ktoś taki jak Mancy Niefartowny powinien się trzymać z dala od wróżb.

Mniejsza z nim. Spędzili na tym cholernym skradzionym statku już kilka miesięcy, a choć na początku było paskudnie, potem wszystko się uspokoiło – aż do chwili, gdy zawinęli do portu w Smętnej Laluni. Heck uświadomił sobie, że sytuacja znowu robi się nieprzyjemna. Mancy Niefartowny był najmniejszym z ich kłopotów. Na tym cholernym statku straszycie. Nie mogło być innego wytłumaczenia. Straszycie. Paskudnie, jak w katakumbach Miasta Myta. Głosy, widma, dymki, skrzypienia, trzaski i szuranie nogami. I nie, to nie były szczury. Odkąd opuścili Lalunię, nikt nie widział na statku ani jednego. A gdy szczury uciekały ze statku, no cóż, Heck był przekonany, że to najgorszy możliwy znak. Albo prawie najgorszy.

Tak jest, na początku było paskudnie. Teraz Sater i ich trójka nie różnili się od reszty majtków. Ale przecież nimi nie byli. To znaczy majtkami. Sater faktycznie była kapitanem, ale w gwardii pałacowej Miasta Myta. Przed

Nocą Pieśni. A Heck, Ptaszyna i Podmucha pełnili owej pamiętnej nocy służbę wartowniczą przy bramie w południowo-wschodnim narożniku murów miejskich. Piątego członka niedobranej grupy, Cwanego Roztropka, zwerbowali w Przystani Myta, tylko dlatego, że znał się na żeglowaniu i miał łódź, której potrzebowali, by zwać ze Stratemu. Nieźle też wywijał tym swoim kordelasem, dzięki czemu kradzież *Słonecznego Loku* przyszła im znacznie łatwiej, niż się spodziewali.

Cwany Roztropek. Już samo nazwisko sprawiało, że Heck łytał ze złością na pustą miskę.

– Kula u nogi – mruknął.

Cętkowana Ptaszyna pokiwała głową.

– Ehe, tak powiedziała pani kapitan. Dlatego właśnie tu teraz jesteśmy, Heck. To pewne jak mechanizm zegara. Ciekawe, czy te dhenrabi są głodne – dodała.

Heck pokręcił głową.

– Podobno w porze rui w ogóle nie jedzą. Dlatego właśnie te wszystkie rekiny trzymają się tak blisko, zamiast zwiewać tak szybko, jakby próbowały latać. Kiedy dotrzemy na Czerwoną Drogę, samce zaczną ze sobą walczyć i rekiny się utuczają. Tak mówią ludzie.

Cętkowana Ptaszyna podrapała się po krótkich włosach, mrużąc powiekę chorego oka. Robiła to zawsze, gdy nasunęła się jej jakaś nieprzyjemna myśl.

– Nigdy nie nienawidziłam morza bardziej niż teraz. Jesteśmy tu zamknięci, całkiem jak w więzieniu, i dzień po dniu oglądamy te same widoki. I jeszcze te okropne dźwięki... – Zadrzała, a potem wykonała lewą ręką Znak Pieśniarza. – Nic dziwnego, że dręczą nas koszmary.

Heck pochylił się nad stołem.

– Ptaszyna, lepiej uważaj z tymi znakami.

– Och. Przepraszam.

– Najpewniej nikt tu nawet nie słyszał o Pieśniarzach – spróbował ją ułagodzić, bo kochał Ptaszynę z całego serca. – Ale lepiej być ostrożnym.

Nikt z nas by nie chciał, żeby go uznano za... kulę u nogi.

– Masz absolutną rację, Heck.

– Poza tym znalazłem sposób, żeby się uwolnić od tych cholernych koszmarów. Przeniosłem nas wszystkich na nocną wachtę.

– Naprawdę?

Przymrużyła chore oko jeszcze bardziej.

– O co ci chodzi? – zapytał Heck. – Czy tak nie będzie lepiej? Jeśli pośpimy za dnia, koszmary nie będą już takie przykre, prawda?

– Założę się, że ci, z którymi się zamieniłeś, tańczą teraz z radości na rei, Heck. Trzeba było najpierw mnie zapytać. Wy tłumaczyłabym ci, co i jak. Heck, nocna wachta oznacza, że będziemy musieli stanąć twarzą w twarz z tym, czego się tak pierońsko boimy.

Heck Urse pobladł, a potem nakreślił Znak Pieśniarza.

– Bogowie na dole! Może uda mi się zamienić z powrotem...

Ptaszyna prychnęła pogardliwie.

Heck oklapł i ponownie wbił wzrok w pustą miskę.

W tej samej chwili do wąskiego kambuza wpadł trzeci dezertor ze Stratemu, Podmucha Piasta. Oczy miał pełne szaleństwa, wybałuszone tak bardzo, że było widać całe białka. Jedną ręką trzymał się za ucho. Między jego palcami wypływała krew. Jasne, cienkie włosy otaczały mu głowę jak szalona aura. Gapił się przez chwilę na Hecka i Ptaszynę, poruszając ustami.

– Kiedy spałem! Ktoś uciął mi ucho! – zdołał wreszcie wykrztusić.

* * *

Pojawienie się spanikowanego marynarza wyrwało siedzącego nieopodal Emancipora Reese'a, Mancy'ego Niefartownego, z rozmyślań nad niezliczonymi osobliwymi zjawiskami. Przyjaciół Podmucha zdołał go skłonić do opuszczenia ręki i okazało się, że ucho faktycznie zniknęło. Ucięto je zgrabnie, pozostawiając ociekającą krwią linię na skórze. Najciekawsze

było pytanie, dlaczego Podmuchi się nie obudził.

Zapewne upił się zdobytym nielegalnie alkoholem i padł ofiarą zemsty jakiegoś innego marynarza. Emancipor ponownie skierował uwagę na miskę z jedzeniem. Jedna z majtków stwierdziła przed chwilą, że kucharz jest poetą, a potem pożarła swą porcję. To był obłąd. Żeglował na wielu statkach i jadł posiłki przygotowane przez legion kucharzy, ale nigdy w życiu nie kosztował czegoś równie obrzydliwego. Nie byłby w stanie tego przełknąć, gdyby nie wzmacniał rdzawego liścia w swej fajce wielkimi dawkami durhangu. Durhang budził w człowieku wilczy głód, pozwalał mu zapomnieć o paskudnym smaku i odpychającym odorze. Gdyby nie to, z Emancipora zostałyby tylko skóra i kości, jak zawsze mawiała jego żona, Subly, gdy któreś z ich potomstwa miało robaki i trzeba było jakoś skomentować ten fakt. Ze względu na swą tuszę zawsze jednak mówiła to z nutą zazdrości. „Skóra i kości, na błogosławione kopce!”.

Niewykluczone nawet, że zaczynał za nią tęsknić. I za tymi urwisami niepewnego pochodzenia też. Jednakże podobne uczucia wydawały mu się teraz równie odległe jak port w Smętnej Laluni. Były tylko odległą plamą na horyzoncie. Tak jest, lepiej zapalić następną fajeczkę.

Słuchając rozmowy majtków – nim przybycie ich jednouchego towarzysza wywołało szok, troskę, a potem nerwowe spekulacje – Emancipor odniósł niejasne wrażenie, że z tą trójką coś rzeczywiście jest nie w porządku. Mniejsza już o stanowczą opinię reszty załogi, że ci marynarze wiedzą o statkach tyle, co kret o wierzchołkach drzew, kapitan Sater wie chyba jeszcze mniej, a gdyby nie pierwszy oficer, już dawno wylądowałiby na mieliźnie albo w olbrzymiej paszczy dhenrabiego. Nie, kryło się w tym coś więcej. Gdyby tylko Emancipor zdołał rozproszyć mgłę spowijającą jego myśli, mogłoby mu przyjść do głowy parę conceptów.

Głód potężniał, powoli przeobrażając miskę piany z pyska gruźliczej kozy w prawdziwy kulinarny rarytas. Po chwili Emancipor wpychał już sobie obrzydlistwo do ust.

Miska się zakołysała, a on usiadł prosto, zauważając ze zdziwieniem, że zjadł wszystko. Oblizał palce i wsunął do ust końce wąsów, by wyssać z nich resztki, jakie mogły tam zostać, a potem oblizał dolną wargę wciąż jeszcze chciwym językiem. Rozejrzał się ukradkiem, by sprawdzić, kto był świadkiem jego szalonego, zwierzęcego zachowania, troje majtków wyszło już jednak. Przypomniawszy sobie, że zrobili to dość szybko, udając się na poszukiwania pokładowego medyka. Emancipor był sam.

Wstał z westchnieniem z ławy, zabrał drewnianą miskę, wrzucił ją do beczki ze słoną wodą przy luku, a potem wyszedł na śródkręcie.

Na bocianie gniazdo na szczycie grotmasztu wciągano właśnie wiadro z jedzeniem. Emancipor spojrzał w górę, mrużąc powieki w słonecznym blasku. Wszyscy zapewniali, że jest ładna. To znaczy, córka. Mogła jednak być niema. Dlatego właśnie od czasu do czasu słyszeli te niesamowite krzyki. Jeśli zaś chodzi o Benę Starszą, no cóż, była szkwałową wiedźmą i od Laluni ani razu nie zeszła na dół, ani nawet nie pokazała swej pomarszczonej twarzy. I życie z pewnością było z tego powodu lepsze. Choć wyteżał wzrok, nie zdołał wypatrzeć na górze nikogo.

Niemniej miło było sobie wyobrazić, że dziewczyna jest ładna.

Ruszył z uśmiechem na rufę. Dobrze było móc się uśmiechnąć. Pełny brzuch uspokoił się wyraźnie. Lokaj miał nad głową czyste niebo, wiał miły wietrzyk, a morze pokrywały niewielkie fale. Subly była daleko i chochliki z wyłazającymi ze wszystkich otworów naturalnych ciała robakami również. Zamordowani pracodawcy i szaleni zabójcy... ach, to, niestety, nie było tak odległe, jak pragnąłby tego każdy zdrowy na umyśle człowiek.

Tak jest, warto było o tym pamiętać. Zatrzymał się na rufie, rozstawił szeroko nogi, by zachować równowagę na kołyszącym się pokładzie, i wypełnił fajkę rdzawym liściem, usiłując skupić spojrzenie na spowitej w czerń sylwetce opartej o reling nieopodal. Na grubych białych palcach, pracujących z precyzją nad hakiem i obciążoną liną. Na bladej pucołowatej twarzy i ostrym koniuszku języka wystającym tuż pod obwisłą górną wargą i

wreszcie na podłużnych oczach o opadających powiekach i na trzepoczących na wietrze rzęsach.

Skupić spojrzenie, tak jest.

Korbal Broach nadział ucięte ucho na żelazny hak z zadziorami.

A potem rzucił go do morza i zaczął rozwijać linę.

* * *

Gdy nadchodziła noc, gwoździe skrzypiały, a ten dźwięk był językiem umarłych. Przedtem również omawiali wiele spraw, przygotowywali plany, badali granice swych ambicji, ale teraz w głosach pojawił się ton niecierpliwości i podniecenia. Byli uwięzieni w gwoździach już od bardzo dawna, zbliżała się jednak chwila wyzwolenia.

Przyzywała ich czerwona droga, która była Końcem Śmiechu, i fala za falą, w rytmie morza tłukącego o deski kadłuba, fala za falą, zbliżali się do nowej złowrogiej żyły, nurtu krwi samego Maela.

Pradawny bóg morza krwawił, jak wszystko co pradawne. A tam, gdzie była krew, można było znaleźć moc.

Gdy noc rozwarła usta i ciemność ziewnęła, żelazne gwoździe łączące deski *Słonecznego Loku*, gwoździe, które ongiś tkwiły w drewnie sarkofagów spoczywających w kurhanach Smętnej Laluni, zanuciły chciwym, głodnym chórem.

Powiadają, że nawet umarli mogą śpiewać pieśń wolności.

* * *

– Emanciporze Reese, wyjmij moją kolczugę, jeśli łaska. Wyczyść ją i naoliw. O ile sobie przypominam, nie są konieczne żadne naprawy, poza tą prostą toaletą. To bardzo korzystne, biorąc pod uwagę twój aktualny stan.

Emancipor stał tuż za drzwiami kajuty i spoglądał, mrugając, na swego pryncypała.

Bauchelain nie odwracał od niego wzroku.

– Bierz się do roboty, panie Reese.

– Hm, oczywiście, panie. Powiedziałaś kolczugę. Z tym sobie poradzę.

– Znakomicie.

Emancipor potarł kark.

– Korbal Broach łowi ryby.

– Doprawdy? No cóż, jak rozumiem, doszedł nagle do wniosku, że potrzebuje chrząstki rekina.

– A po co? Czy bolą go kolana?

– Słucham?

– Szkwałowe wiedźmy mówią, że to bardzo skuteczne, panie.

– Aha. Jak rozumiem, Korbal Broach pragnie ją wykorzystać w swych eksperymentach.

– Och.

– Panie Reese.

– Słucham, panie?

– Moja kolczuga... nie, zaczekaj chwilę. – Bauchelain wstał z koi. – Mam wrażenie, że w naszych stosunkach doszło do kryzysu.

– Panie? Chcesz mnie zwolnić?

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. – Wysoki, jasnoskóry mężczyzna poprawił brokatowy płaszcz, a potem pogłaskał spiczastą bródkę. – Niestety, podczas rejsu twoje umiejętności znacznie podupadły, panie Reese. Powszechnie wiadomo, że nadużycie durhangu prowadzi do osłabienia kompetencji, chronicznego znudzenia oraz wygaśnięcia wszelkich ambicji. Krótko mówiąc, twój mózg zaczął zanikać. Na jawie pozostajesz w stanie ciągłego otępienia, a kiedy zasypiasz, nie potrafisz osiągnąć głębszych warstw snu, niezbędnych do wypoczynku i odzyskania sił. Wszystko to, niestety, uczyniło cię zarówno bezużytecznym, jak i nudnym.

– Tak, panie.

– W związku z tym, dla twojego i, co ważniejsze, mojego dobra jestem zmuszony skonfiskować twój zapas durhangu na czas rejsu, a jeśli okaże się to konieczne, również na zawsze.

– Och, panie, to nie byłoby dobre.

– Nie byłoby dobre, panie Reese? – zapytał Bauchelain, unosząc brew.

– Tak, panie. Niedobre. Rozumiesz, chodzi o moje nerwy. Nie są już tak mocne, jak kiedyś.

– A co im tak zaszkodziło, panie Reese?

No cóż, to właśnie było kluczowe pytanie. To, którego cały ten durhang miał mu pomóc uniknąć. A teraz pryncypał Emancipora żądał od niego całkowitej, żalostnej trzeźwości, w której nie pozostanie mu żadna ucieczka. Lokaj oniemiał raptownie. Wskazał na potężny drewniany kufer ustawiony pod ścianą.

Bauchelain zmarszczył brwi.

– Chodzi o dziecko Korbala Broacha? Ależ, panie Reese, to głupie. Czy ono kiedykolwiek uciekło? Czyż nie widziałeś go tylko raz, i to na samym początku rejsu? Co więcej, czy nie masz wiary w więzy i osłony, które nałożyłem na tego nieszkodliwego homunkulusa? Powinienem dodać, że paranoja również jest objawem często występującym u nadużywających durhangu.

– Panie, słyszę je co noc. Bełkocze, jęczy, bulgocze.

– Korbali Broach nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do odpowiedniej budowy ust oraz przewodów głosowych. Podobne dźwięki są czymś zupełnie naturalnym, biorąc pod uwagę fizyczne ograniczenia owej istoty. Poza tym...

– głos Bauchelaina przybrał nagle twardszy ton -...zawsze będą nam towarzyszyć goście, często znacznie mniej przyjemni niż skompletowany przez Korbala Broacha dziwaczny zestaw narządów i części ciała, znajdujący się obecnie w tym kufrze. Panie Reese, byłem pod wrażeniem, że, gdy zgodziłeś się przyjąć pracę, w pełni zdawałeś sobie sprawę z podobnych

uwarunkowań. W końcu moim zasadniczym hobby jest wyczarowywanie demonów, natomiast mój towarzysz, Korbal Broach, bada tajemnice życia, śmierci oraz tego, co leży pomiędzy nimi. Czyż to nie oczywiste, że podczas naszych wędrówek przeżyjemy wiele niezwykłych przygód? I czy rzeczywiście chciałbyś, żeby było inaczej?

Na to Emancipor Reese nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Wytrzeszczał oczy, gapiąc się na swego pracodawcę.

Po chwili czarodziej odwrócił wzrok z cichym westchnieniem.

– Tak czy inaczej, panie Reese, dziecko nie powinno cię niepokoić. Jestem przekonany, że już o tym z tobą rozmawiałem. Wkrótce przed tym, nim wyruszyliśmy na otwarte morze. Statek zatrzymał się w Laluni, by uzupełnić zapasy i dokonać napraw, a także skompletować załogę. Spośród tych trzech powodów tylko naprawy mają związek z naszą obecną sytuacją.

Bauchelain przerwał na chwilę. Podeszedł do rufowego bulaju, wsparł się obiema dłońmi na jego obudowie i wyjrzał na zewnątrz przez szybę z ołowiowego szkła.

– Ach, nadciąga zmierzch, panie Reese. Za chwilę znajdziemy się pod władzą Końca Śmiechu. Żelazne gwoździe, panie Reese. Nabyte w Smętnej Laluni.

Emancipor zmarszczył brwi. Słowa Bauchelaina przywołały pewne wspomnienie. Głosy dwóch jego kumpli w barze. Kreege’a i Dully’ego, robotników portowych.

Gwoździe. Żelazne gwoździe...

Bauchelain ponownie spojrzał na lokaja.

– Panie Reese, pochodzisz ze Smętnej Laluni, może więc potrafisz mi powiedzieć, co to właściwie jest Jhorligg?

* * *

Heck Urse wiedział, że powinien spać aż do chwili, gdy zabrzmie dzwon

na nocną wachtę, ale jego umysł wypełniał wir lęków, obaw i uporczywych zmartwień. Łatwo było zrozumieć, że przeniesienie z dziennej wachty na nocną wiąże się z licznymi komplikacjami. Tak jest, to było kłopotliwe. Cętkowana Ptaszyna potrafiła w jednej chwili zapaść w głęboki'sen, ale ona przecież służyła w oddziałach pomocniczych w garnizonie Pieśniarzy w Mieście Myta, czyż nie tak? Najbardziej z nich wszystkich przypominała prawdziwego żołnierza. Jeśli zaś chodzi o Podmucha Piastę, jego fart był doprawdy imponujący. Tylko pomyśleć, ledwie zdążył stracić ucho, a pokładowy medyk już wepchnął mu w łapy butelkę d'bayangowego nektaru. Wystarczy jeden łyk, by człowiek mógł przespać konwulsje Pozogi, choćby wokół nawet waliły się góry.

Niestety, biedny Heck Urse nadal miał dwoje uszu, a do tego nie posiadał żołnierskiego talentu do spania w dowolnym miejscu i czasie. Dlatego kręcił się wkoło, niespokojny i zdezorientowany jak kot, któremu ucięto wąsy. A na wprost niego, przy rufowym relingu, stał jeden z gości, ten grubszy, ten, którego nikt nigdy nie widział, chyba że go zobaczył, co zdarzało się rzadko. Teraz jednak się zdarzyło. Stał tam, obleczonego w czarny płaszcz z postawionym kapturem.

Heck chciał go ominąć, ale wtedy znowu przeszedłby obok pani kapitan. Jeden raz bez żadnego komentarza ani rozkazu to był fart, ale dwa razy byłyby cholernie nieprawdopodobne. Zaczerpnął głęboko tchu, by się uspokoić, i zbliżył się do niesamowitego pasażera.

– Nadchodzi zmierzch. Wygląda na to, że będziemy mieli spokojną noc.

Zakapturzona głowa obróciła się lekko i Heck raczej poczuł niż zobaczył spoglądające nań rybie oczy. Stłumił nagły dreszcz i oparł się o reling.

– Hm, widzę, że łowisz ryby. Słyszałem, że to niebezpieczne wody. Pełno tu rekinów i dhenrabich. To znaczy, że łowienie ryb jest raczej ryzykowne. Zauważyłeś, że marynarze nigdy tego nie robią? Tylko pasażerowie i tak dalej. To dziwne, nie? Założę się, że chodzi o to, że pewnego dnia sami możemy nakarmić te ryby, a to nie jest przyjemna myśl.

– Rekiny – stwierdził pasażer piskliwym głosem.

Heck zamrugał, a potem zmarszczył brwi.

– Że co? Chcesz złowić rekina? Jasne. Znam się na żartach. Rekina, ha, ha. Pewnie dużego, tak? Jednego z tych złotogrzbietych, które dorównują długością *Słonecznemu Lokowi*. To ci dopiero będzie walka, co? Można się będzie zakładać, kto kogo wciągnie na pokład!

Cały czas się śmiał.

Dopóki wystarczyło mu odwagi w obliczu tych oczu, przyglądających mu się i osadzonych w ukrytej w cieniu twarzy.

– Ha, ha... ha... ha.

Robiło się coraz ciemniej. Pasażer rozwinął kilka kolejnych zwojów liny.

Heck podrapał się po zarośniętej szczęce.

– Rekiny lubią mięsną przynętę – stwierdził. – Krwawiącą przynętę. Świeże mięso skończyło się dwa dni po odpłynięciu z Laluni. Co założyłeś na haczyk? Miałeś już branie?

– Nie – odparł z westchnieniem pasażer. – Masz rację. Przynęta musi być bardziej krwawa.

– To prawda.

– I pewnie też większa.

– Tak sędzę. Przydałby się też solidniejszy hak. Najlepiej na tuńczyka.

– Aha. To świetny pomysł. Potrzymaj to.

Pasażer włożył Heckowi w rękę zwój liny. Majtek poczuł, rytmiczny ruch kołyszącej się na falach przynęty. Odwrócił się, by powiedzieć gościowi, że musi iść na wachtę, ale tamten gdzieś sobie poszedł.

Czekał cierpliwie, zastanawiając się co robić dalej. Jeśli zabrzmiał dzwon, a ten dureń nie wróci, Heck Urse będzie miał kłopoty.

Nagle za jego plecami rozległy się kroki. Odwrócił się z ulgą.

– Świetnie, że wróciłeś... och, pani kapitan!

– Heck, co tu robisz, do Kaptura?

– Hm, trzymam linę, kapitanie.

– Łowisz ryby?

– Nie! To był jeden z gości! Ten gruby. Poprosił mnie, żebym pottrzymał linę, dopóki nie wróci, i nie zdążyłem mu powiedzieć, że nie mogę, bo mam nocną wachtę i tak dalej. Dlatego teraz muszę tu stać.

– Heck, ty cholerny idioto, przywiąż linę do relingu. Potem idź obudzić Ptaszynę i Podmucha. Słońce już prawie zaszło.

– Tak jest, kapitanie!

* * *

– Ostatni przypadek, o którym słyszałem, wydarzył się jakieś dwadzieścia lat temu. Przebywałem wtedy w głębi lądu, na Kradzieży, więc go nie widziałem – zaczął Emancipor, przeklinając nagłą trzeźwość, zapewne spowodowaną przez coś, co Bauchelain dodał do pitej przez lokaja herbaty. – Dorwali go pod portem. Rozumiesz, był odpływ. Gdyby zdążył zwać do wody, nie mieliby szans go capnąć i przez długie miesiące, może nawet lata, żaden rybak nie odważyłby się wypłynąć na połów. Potrzeba było dwudziestu silnych żołnierzy, żeby zabić go włóczniami, toporami i tak dalej, a i tak tylko czterech z nich uszło z życiem z walki.

– A więc to bardzo groźne stworzenie – zauważył Bauchelain, zasłaniając twarz złożonymi w piramidkę dłońmi.

– Ehe. A ten miał dopiero pół dnia. Rozumiesz, one rosną bardzo szybko, bo zjadają matki.

– Zjadają matki?

Emancipor łypnął nieufnie na swą herbatę.

– Nikt nie wie, jak jest naprawdę, ale opowieść brzmi tak: nasienie Jhorliggów pływa w wodzie, jak małe robaczki. Jeśli znajdzie młodą kobietę, która ma okres, poławiaczkę pereł albo naprawiającą sieci, ten robaczek zakrada się do środka i kradnie macicę. Kobieta zaczyna jeść za trzech dorosłych mężczyzn i jej brzuch rośnie bardzo szybko. Trwa to jakieś sześć,

siedem miesięcy, aż wreszcie w skórze pojawiają się pęknięcia. Wreszcie, na ogół w bezksiężycową noc, Jhorligg wyłazi na zewnątrz, prosto przez skórę, i pożera kobietę razem z kośćmi i wszystkim. Potem zwiewa prosto do wody.

– To ciekawe – przyznał Bauchelain. – Ale nie aż tak nieprawdopodobne czy dziwaczne, jak zapewne sądzisz. Na świecie nie brak pasożytów, a większość ich żyje w wodzie, czy to słonej, czy słodkiej. Takie pasożyty potrafią wnikać do ciała żywiciela przez każdy otwór.

– Jhorliggi to nie są zwykle zwierzęta – zapewnił Emancipor. – Ponoć są prawie tak inteligentne jak my. Celowo wpływają w sieci i zwijają się w ciasny kłębek, pozwalając, by wyciągnięto je na pokład. Potem uwalniają się i zabijają wszystkich rybaków w łodzi, żeby ich pożreć. Niektóre potrafią nawet używać broni, mieczy i tak dalej, zgubionych na morzu albo złożonych w ofierze duchom morza. Ale, panie, Jhorliggi żyją tylko w płytkich, przybrzeżnych wodach, nie na otwartym morzu. Na pewno nie tutaj.

– To brzmi rozsądnie – wyszeptał Bauchelain. – W tych wodach konkurencja jest zbyt duża, nie wspominając już o fakcie, że same mogłyby stać się ofiarami. Panie Reese, opisałeś mi czysto morskie stworzenie, które tylko zaczyna życie na lądzie, podobnie jak żółwie czy dhenrabi. A mimo to potrafi sobie poradzić z załogą łodzi rybackiej. W związku z tym musimy przyjąć założenie, że w razie potrzeby mogą przeżyć poza wodą. Pytanie brzmi: jak długo?

Emancipor wzruszył ramionami.

– Ponoć przypominają jaszczurki, ale umieją chodzić na tylnych nogach. Mają długi, żylasty ogon i pazurzaste łapy, ale najgorsze są ich zęby. Za jednym zamachem potrafią odgryźć człowiekowi głowę i zmiażdżyć czaszkę jak skorupkę jajka...

Umilkł, gdy Bauchelain pochylił się powoli, wbijając weń przeszywające spojrzenie.

– To bardzo interesujący opis.

– Nie określiłbym go tym słowem, panie.

Bauchelain odchylił się z powrotem.

– Ehe, pewnie byś nie określił. Dziękuję, panie Reese. Mam nadzieję, że już odzyskałeś rozsądek?

– Tak, panie.

– W porządku. W takim razie zajmij się szybko moją kolczugą.

– Szybko, panie?

– Zaiste. Wkrótce wpłyniemy na krwawą drogę, panie Reese. Dzisiejsza noc będzie nadzwyczaj fascynująca – dodał i wstał, zacierając ręce. – A kiedy już skończysz z kolczugą, naostrz mój miecz. Ten z czerwoną klingą, jeśli łaska.

Kolczuga? Miecz? Emancipor poczuł, że trzewia wypełnia mu narastające przerażenie. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że ze wszystkich stron otacza go straszliwa kakofonia. Skrzypienie desek, pisk spoin, stukot przemieszczających się gwoździ, niezwykle jęki obiektów, przetaczających się z boku na bok kadłuba.

Słoneczny Lok pochylił się jak pijak. Za bulajem zapadła ciemność.

A gdzieś na dole, w ładowni, ktoś krzyknął.

* * *

Bena Młodsza usłyszała przerażający wrzask i skuliła się w swym koszu.

Och, tak, kochana córko, zaczyna się noc! Niezliczone są straszliwe tajemnice Końca Śmiechu i gdybyśmy potrafiły fruwać na czarnych skrzydłach, teraz właśnie byłaby odpowiednia chwila, by je rozwinąć i opuścić to gniazdo, moja droga! Ale któż na tym świecie potrafi umknąć przed tym, co go przeraża? Zastłaniamy oczy dłońmi i zagłuszamy naszymi głosami swe żalosne żale. Umysł również ma skrzydła, tak jest. Tylko zaczekaj, aż odleci w otchłań, zostawiając za sobą ciało!

Gwiazdy płąsały w niezwykłym tańcu nad jej głową. *Słoneczny Lok* zatrzymał się, kołysząc się na morzu, jakby wiatr właśnie wydał ostatnie

tchnienie. Czarne fale muskały kadłub.

*Jesteśmy bezpieczne, kochanie, tu wysoko nad mrocznymi falami.
Jesteśmy jak królowe! Boginie!*

W ciemności na dole rozległ się kolejny krzyk. Bena Młodsza uświadomiła sobie, że wcale nie czuje się jak królowa albo bogini. Opleciony siecią poskrzypujących lin maszt nagle wydał się dziewczynie za niski, by mógł dać jej schronienie przed grozą, która pojawiła się na pokładzie *Słonecznego Loku*.

Tymczasem Bena Starsza nie przestawała zawodzić i jęczeć. Jej włosy stały dęba i poruszały się na wietrze, łaskocząc twarz młodszej kobiety jak skrzydła ciem.

* * *

– Kto tak wrzeszczy? – zapytał Heck Urse, wyciągając rękę z lampą tak daleko przed siebie, jak tylko zdołał. Po poskrzypującym kadłubie statku tańczyły cienie, szorstkie wilgotne deski sufitu muskały czubek głowy mężczyzny. Zajrzał w mrok ładowni. Na jego skórze perlił się zimny pot.

Inni również już wstali, ale większość tłoczyła się trwożnie w luku prowadzącym do koi dla załogi. Z szyderczym uśmiechem mającym skrywać lęk Urse przypomniał sobie, wszystkie te wybałuszone oczy i rozdziawione usta, mroczne i okrągłe jak jamy w ścianach klifów, gdzie gnieździły się jerzyki. Tchórze!

No cóż, oni nigdy nie byli żołnierzami, prawda? Nikt z nich nie był. To naturalne, że zdali się na Hecka, Podmucha i Cętkowaną Ptaszynę. Co prawda, żadne z nich nie przechwalało się zbyt swym zawodem. Nie, takie rzeczy można było wyczytać z twardej pewności siebie okazywanej w chwili, gdy wszystko znikało w paskudnej, mrocznej jamie. Dlatego właśnie stał tu teraz z Ptaszyną i Podmucha. W jednej ręce trzymał lampę, a dwoje towarzyszących mu żołnierzy miało u pasów krótkie miecze, niech ich

Kaptur błogosławi.

– Briv gdzieś zniknął – oznajmił Podmuch Piasta, przestając się na chwilę modlić, by przekazać Heckowi tę informację nerwowym, piskliwym głosem.

– Podobno zszedł na dół po beczułkę czegoś tam.

– Briv kuchcik? – zapytała Cętkowana Ptaszyna.

– Nie, Briv pomocnik cieśli.

– On też się nazywa Briv?

– Ehe. Jest jeszcze Briv od splatania lin.

– Mówisz, że Briv zaginął? – przerwał tę głupią rozmowę Heck.

– Ehe. Briv, pomocnik cieśli.

– A przedtem zszedł pod pokład, tak?

– Nie mam pojęcia – odparł Podmuch Piasta. – Pewnie tak, jeśli to on krzyczał, ale nie możemy być pewni, nie? To równie dobrze mógł być jakiś inny Briv.

Heck odwrócił się i przeszył jednouchego towarzysza pełnym złości spojrzeniem.

– Dlaczego któryś z tamtych Brivów miałby krzyżeć, Podmuch?

– Nie mówiłem, że tak było, Heck. Chciałem tylko powiedzieć, że nie wiemy, który Briv krzyczał, jeśli to był Briv.

– A dlaczego to akurat Briv musiał krzyżeć? – zapytał Heck podniesionym z frustracji głosem.

Podmuch i Ptaszyna wymienili spojrzenia.

– Nie ma powodu, kochanie – odparła kobieta, wzruszając ramionami.

– Chyba że cała trójka wybrała się po tę samą beczułkę! – skonkludował Podmuch.

– Nie na tym polega problem! – warknęła Ptaszyna. – Po co w ogóle pomocnikowi cieśli jakaś beczułka? Oto jest pytanie! Kuchcikowi, pewnie, to ma sens. Nawet splataczowi lin, jeśli potrzebował...

– Potrzebowała – poprawił ją Podmuch.

– Briv od splatania lin jest kobietą?

– Ehe.

– Dobra, chodziło mi o to, że wosk trzyma się w beczułkach, tak? I smołę też. To znaczy, że ona mogłaby tu zejść...

– Tylko posłuchajcie własnego gadania! – stracił cierpliwość Heck Urse. – Nie ma znaczenia, który z Brivów...

Z luku na górze dobiegły krzyki.

– Znaleźli Briva! – ucieszył się Podmucha.

– Ale którego? – zainteresowała się Ptaszyna.

– To nieważne! – wrzasnął Heck. Zacerpnął głęboko w płuca cuchnącego powietrza, żeby się uspokoić. – Rzecz w tym, że nikogo nie brakuje, tak? No to, kto krzyczał?

Podmucha zatoczył oczami.

– To właśnie próbujemy ustalić, Heck. Przestańmy marnować czas i bierzmy się do roboty!

Heck Urse ruszył naprzód, wyciągając rękę z lampą jeszcze bardziej.

– Poza tym – podjął cichszym głosem Podmucha – słyszałem plotki, że Briv, która spleta liny, to wcale nie jest Briv. To Gorbo, który lubi się przebierać za dziewczynę.

Heck znowu się obejrzał i spojrzał groźnie na Podmucha.

Ten wzruszył ramionami.

– Nie ma w tym nic dziwnego. Na każdym statku trafia się ktoś taki...

– Gdzie o tym słyszałeś? – przerwał mu Heck.

– No wiesz, to tylko domysły. Ale brzmią bardzo przekonująco.

– Wiesz, czego bym chciał? – zapytał Heck. – Chciałbym, żeby ten ktoś nie uciął ci ucha.

– Też bym...

– Lepiej by było, gdyby uciął ci język, Podmucha.

– To nie było miłe, Heck. Ja wcale bym nie chciał, żeby ktoś ci coś uciął. Nadal mnie boli. Okropnie piecze, zwłaszcza teraz, kiedy tak bardzo się pocę. Piecze, Heck. Jak to by ci się spodobało? I są jeszcze te świsty. Coś świszczy

i świszczy...

– Idę do latryny – oznajmił Heck.

– Co, teraz? Nie mogłeś tego zrobić...

– Jest obok, ty durniu! Muszę ją sprawdzić.

– Dobra, jak sobie chcesz – odparł Podmucha, wzruszając ramionami. – Tylko pamiętaj, żeby umyć ręce.

* * *

– To nie Jhorligg krzyczał – zauważył Emancipor Reese, oblizując wyschnięte wargi.

Bauchelain, nadal poprawiający rękawy kolczugi, spojrzawszy na lokaja, unosząc brew.

– Panie Reese, to był śmiertelny krzyk...

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że Korbal Broach...

– Z całą pewnością nie. Jesteśmy za daleko od lądu, by Korbal Broach mógł szukać ofiar wśród załogi. To byłoby bardzo nierozsądne, bo kto by wtedy dbał o statek? – Włożył czarne, kolcze rękawice i wyciągnął ręce, by Emancipor zawiązał mu rzemyki na nadgarstkach. – Bardzo żalony krzyk – wyszeptał nekromanta. – Rzecz jasna, wszystko to przewidziałem.

– Chodzi o te gwoździe, panie?

Bauchelain skinął krótko głową.

– Nigdy nie jest rozsądne uwalnianie duchów umarłych, wyrywanie ich z miejsca spoczynku.

– Pociesza mnie myśl, że istnieje coś takiego jak miejsca spoczynku, panie.

– Och, przepraszam, panie Reese. Żadne takie miejsca nie istnieją, nawet dla umarłych. Z lenistwa użyłem utartego frazesu. Poprawniej byłoby powiedzieć „z miejsca wiecznego uwięzienia”.

– Och.

– Rzecz jasna, duchy są zachwycone niespodziewaną wolnością i szybko zaczynają sobie wyobrazać, że otwierają się przed nimi niewiarygodne możliwości. Niestety, większość tych wizji jest fałszywa. To niewiele więcej niż urojenia. – Wyciągnął z pochwy miecz o ciemnej klindze. – Dlatego właśnie niektórzy śmiertelnicy są tak bardzo... użyteczni. Korbal Broach świetnie rozumie takie nieokielznane duchy.

– W takim razie, dlaczego przygotowujesz się do walki, panie?

Bauchelain znieruchomiał i wpatrywał się w lokaja przez długą chwilę. Potem zwrócił się ku drzwiom.

– Mamy gości.

Emancipor poderwał się nagle.

– Nie ma powodu do paniki, panie Reese. Otwórz drzwi, proszę, i zaprosź ich do środka.

– Tak, panie.

Odsunął rygiel i cofnął się pośpiesznie. Do kajuty weszła kapitan Sater. Podążał za nią pierwszy oficer. Kobieta pobladła, ale jej twarz nic nie wyrażała, natomiast Cwany Roztropek wyglądał, jakby żuł jeżozwierze.

– To wszystko przez ciebie, Niefartowny! – wysyczał, dźgając Emancipora zgiętym palcem.

– Cisza! – warknęła kapitan Sater, wbijając w Bauchelaina spojrzenie szarych oczu. – Koniec z udawaniem. Jesteś czarodziejem.

– Raczej sztukmistrzem – sprzeciwił się Bauchelain. – I nie zdawałem sobie sprawy, że cokolwiek udawałem, kapitanie.

– To śmierdzący mag – warknął pod nosem Cwany Roztropek. – To pewnie również i jego wina! Rzućmy ich dhenrabim, kapitanie, a dopłyniemy do Przylądka Bez Nadziei bez dodatkowych kłopotów... Na Jeźdźców Sztormu! – wydyszał nagle. Dopiero w tej chwili zauważył, że Bauchelain wdział bojowy rynsztunek. Cofnął się ku drzwiom, sięgając po krótki miecz, który miał u pasa.

Kapitan Sater odwróciła się i przeszła swego pierwszego oficera

wściekłym spojrzeniem.

– Zejdź pod pokład, Wybór. Sprawdź, co nasi ludzie znaleźli w ładowni. Na oddech Kaptura, sprawdź, czy jeszcze żyją. Zmiataj stąd! Jazda!

Cwany Roztropek spojrzał na Bauchelaina, odsłaniając krzywe zęby w gniewnym grymasie, a potem czmychnął z kabiny.

Sater westchnęła z drżeniem i znowu spojrzała na maga.

– Co się dzieje na tym statku? Powietrze przesycą aura grozy, a wszystko to z powodu jednego krzyku. Tylko posłuchaj kadłuba. Wygląda na to, że zaraz się rozleci. Wytłumacz mi to! I z kim, w imię Kaptura, masz zamiar walczyć?

– Panie Reese, nalej nam, proszę, trochę wina – rzekł cicho Bauchelain.

– Nie interesuje mnie wino! – warknęła kobieta.

Bauchelain zmarszczył brwi.

– Nalej mi trochę wina, panie Reese.

Emancipor podszedł do kufra, w którym jego pryncypał trzymał zapas zakurzonych słoików, butelek i manierek. Gdy zaczął w nich grzebać, szukając czegoś nieszkodliwego, Bauchelain wznowił rozmowę z panią kapitan.

– Panika zdarza się nader często, gdy budzą się duchy, kapitanie Sater. Jak pyłek unoszący się w powietrzu albo nasiona przerażenia, które mogą się zakorzenić w każdym pozbawionym osłony śmiertelnym umyśle. Zalecam ostrożność, bo w przeciwnym razie groza pożre również twój umysł.

– A więc ten krzyk był tylko rezultatem bezmyślnego przerażenia?

Emancipor świetnie potrafił sobie wyobrazić uśmiech, który z pewnością towarzyszył następnym słowom Bauchelaina.

– Widzę, że myśl o duchach, które wyrwały się na wolność, nie wystarcza, by wzbudzić twój niepokój, kapitanie. Jestem pod wrażeniem. Z pewnością masz i wiele doświadczeń, które pozwalają ci zachować spokój. Szczerze mówiąc, poczułem ulgę, widząc, że potrafisz w podobnej sytuacji zachować panowanie nad sobą. Tak czy inaczej, krzyk oznajmiał straszliwą śmierć

kogoś z twojej załogi.

Za plecami Emancipora zapadła cisza. Lokaj wyciągnął ze skrzyni butelkę wykonaną z czarnego szkła, pełnego zatopionych w nim pęcherzyków powietrza, ale wzdrygnął się nagle, ujrawszy, że na korpusie wytłoczono trupa czaszkę, a na krótkiej szyjce dwie piszczele. Schował pośpiesznie butelkę i sięgnął po następną.

– Duchy rzadko posiadają zdolność zabijania żywych ludzi – zauważyła kapitan Sater zimnym, martwym tonem.

– To prawda, kapitanie. Rzecz jasna, istnieją wyjątki. Nie możemy też zapominać o Czerwonej Drodze, Końcu Śmiechu i jego wartkim prądzie. Niestety, wszystko sprzysięgło się przeciwko nam. Żeby się upewnić, co dokładnie wydarzyło się pod pokładem, muszę porozmawiać ze swym towarzyszem, Korbalem Broachem.

– To kolejny cholerny czarodziej.

– Ktoś w rodzaju zaklinacza.

– Gdzie on się podział? Niedawno widziano go na pokładzie, ale potem zniknął. Myślałam, że ten cholerny eunuch siedzi tu z tobą.

Emancipor znalazł kolejną butelkę. Na matowozielonym szkle nie było żadnych groźnych znaków. Odwrócił się i uniósł butelkę pod światło lampy. W ciemnej cieczy nie pływało nic podejrzanego. Wziął kielich, wyciągnął zatyczkę i nalał swemu pracodawcy pełną porcję. Potem się zastanowił i bardzo ostrożnie powąchał płyn.

Ehe, to wino.

Wyprostował się z ulgą i wsunął kielich w lewą, zakutą w metal dłoń Bauchelaina.

– Kapitanie Sater, radzę, byś powstrzymała się od używania podobnie niegustownych... wyróżników przy opisie Korbała Broacha. Pan Reese może zaświadczyć, że charakter mojego towarzysza padł ofiarą krwawego okaleczenia w równym stopniu...

– Już dobra, dobra, jest cholernym krabem zapędzonym w kąt. Nie

odpowiedział mi jednak, dokąd poszedł.

– No cóż. – Bauchelain przerwał i popił łyk wina. – Biorąc pod uwagę jego specjalność, przypuszczam, że...

Czarodziej umilkł nagle. Pauza ciągnęła się pięć, siedem, dziesięć uderzeń serca. Potem Bauchelain odwrócił się powoli i spojrzał na lokaja. W jego z reguły zimnych jak lód oczach zapłonął dziwny ogień. Na czole, w brodzie i w przyciętych krótko wąsach pojawiły się maleńkie kropelki potu.

– Panie Reese – odezwał się zdławionym głosem. – Schowałeś butelkę do skrzyni?

– Hm, tak, panie. Chcesz jeszcze?

Dłoń, w której trzymał puchar, zaczęła drżeć. Bauchelain postawił jeden, dziwnie urywany krok w stronę lokaja i wcisnął mu miecz do rąk.

– Weź to. Szybko.

– Panie?

– Ciemnozielona butelka, panie Reese? Szkło pozbawione ozdób, wydłużona, cebulasta szyjka?

– Ehe, to ta...

– Następnym razem... – wydyszał Bauchelain. Jego twarz poczerwieniała, przybierając odcień, jakiego Emancipor nigdy dotąd nie widział na bladym, pucołowatym obliczu swego pryncypała. – Następnym razem, panie Reese, każda z butelek oznaczonych czaszką...

– Ale, panie...

– To krwawe wino, panie Reese. Szczególnie potężny rocznik. Kształt szyjki jest ostrzeżeniem. – Zaczął szarpać za kolczugę, jakby nagle poczuł ostry ból w podbrzuszu. – Ostrzeżenie... o bogowie! Nawet panna Toblakai by się uśmiechnęła! Uciekaj stąd, panie Reese. Zwiewaj, szybko!

Kapitan Sater gapiła się na to wszystko bez śladu zrozumienia.

Emancipor Reese chwycił miecz i popędził do drzwi. Gdy wybiegał z kajuty, kapitan Sater spróbowała podążyć za nim. Bauchelain poruszył się błyskawicznie i złapał ją jedną ręką za kark.

– Nie ty, kobieto!

Jego głos zmienił się nie do poznania. Był ochrypły, prawie zwierzęcy.

Sater spróbowała sięgnąć po miecz, ale Emancipor usłyszał głośny trzask rozrywanej skóry i puszczających sprzączek. Kobieta pisnęła cicho...

Emancipor wypadł na korytarz, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Z kajuty dobiegł łoskot, szuranie butów, kolejny stłumiony krzyk.

Emancipor Reese oblizwał usta. Tak, ostatnio robił to bardzo często, prawda?

Krwawe wino, gdzie ja słyszałem tę nazwę? Pan wspomniał o Toblakai. To te barbarzyńskie olbrzymy. Aha, sok z drzew. Zmieszany z winem? To brzmi prawdopodobnie.

Stukot i skrzypienie nabrały rytmicznego charakteru. Rozległy się kobiece jęki i męskie stęknienia.

Emancipor popatrzył na miecz, który trzymał w dłoniach, na jego wydłużoną, niemal dwuręczną rękojeść. Zaokrągloną gałkę ze srebra i onyksu nieźle obciążono. Błyszczała, jakby była wilgotna.

Zza solidnych, dębowych drzwi dobiegały desperackie krzyki i jęki.

Wrócił myślą do kształtu tamtej szyjki, a potem znowu spojrzał na jelec i gałkę miecza.

Och. Jeden łyk? Tylko jeden? Bogowie na dole!

* * *

– Słyszałaś to?

Cętkowana Ptaszyna przyjrzała się z uwagą Podmuchowi Piaście.

– Co niby miałam słyszeć?

– Szum wody. Chyba mamy dziurę w kadłubie!

– Nie mamy. Poczulibyśmy to. Statek zrobiłby się ociężały. Na język Maela, stalibyśmy tu po kolana w wodzie. Nie ma żadnej dziury, Podmuch, więc lepiej zamknij jadaczkę!

Rozmawiali szeptem, ponieważ oboje rozumieli, że szeptanie jest dobre, zwłaszcza że Heck zbliżał się do latryny w poszukiwaniu tego, kto tak krzyczał, i może znajdzie tam szczątki biednego durnia albo co gorsza zupełnie nic, poza być może plamami lepkiej substancji o zapachu wilgotnego żelaza.

– Słyszę wodę, Ptaszyna. Daję słowo. Szum, stuki, i jęki. Bogowie, to doprowadza mnie do szaleństwa!

– Zamknij się, do cholery!

– Popatrz na te gwoździe. Te nowe. Popatrz jak krwawią...

– To woda z domieszką rdzy...

– Nieprawda...

– Dość już tego. Popatrz, Heck jest już w latrynie.

To wystarczyło, żeby uciszyć Podmucha Piastę. Dysząc ciężko, przykucnął obok Ptaszyny na środkowym trapie biegnącym wzdłuż stępki. Oboje wyteżali wzrok, wpatrując się w plamę migotliwego światła lampy piętnaście kroków przed nimi. Czarne, wypaczone drzwi uchyliły się powoli. I sylwetka Hecka Urse'a przesłoniła światło.

– Patrz! – wysyczał Podmucha. – Wchodzi do środka!

– To odważny człowiek – mruknęła Cętkowana Ptaszyna, potrząsając głową. – Szkoda, że za niego nie wyszłam.

– Aż taki odważny to nie jest – mruknął Podmucha.

Ptaszyna spojrzała na niego, wyciągając powoli nóż.

– Co przed chwilą powiedziałeś?

Podmucha Piasta wskazał głową ku przodowi, w ogóle nie słysząc groźby brzmiącej w głosie kobiety.

– Patrz, zagląda do środka.

– Ehe.

Ptaszyna schowała nóż.

Heck wyprostował się, zatrzasnął drzwi, odwrócił się, zataczając łuk lampą, i ruszył z powrotem ku towarzyszom.

– Nic nie znalazłem – oznajmił. – Nie ma tam nikogo.

Podmuch Piasta pisnął głośno, przyciskając rękę do zabandażowanej rany na głowie. Dwoje towarzyszy spojrzało na niego.

– Coś mnie uszczypnęło!

– A w co? – zapytał Heck. – To jest tylko fantom ucha, Piasta. Już go nie masz, pamiętasz?

– Przysięgłbym...

– To tylko wytwór twojej wyobraźni – zapewniła Cętkowana Ptaszyna. Odwróciła się, spoglądając na Hecka Urse'a. – I co teraz zrobimy?

Usłyszeli czyjeś kroki. Odwrócili się i zobaczyli, że zbliża się Cwany Roztropek.

– Przeszukaliśmy wszystko, Roztropek – odezwał się Heck, gdy pierwszy oficer podszedł bliżej. – Nie znaleźliśmy nikogo. Żadnych śladów.

Cwany Roztropek przykucnął, przyciągając wszystkich do siebie.

– Posłuchajcie, cała cholerna załoga się obudziła. Ludzie rozglądają się trwożnie na wszystkie strony. Nie możemy im powiedzieć, że nic nie znaleźliśmy...

– Sprawdzili stan? – zapytał Heck. – Kogo brakuje?

– Briv, która splata liny.

– Jesteś tego pewien?

– Tak mi powiedzieli. To ta niska, z pomarańczowymi włosami i owłosionymi nogami...

– A Gorbo był na miejscu?

Cwany Roztropek skinął głową.

Heck i Ptaszyna wymienili spojrzenia.

– Jesteś tego pewien? – zapytał mężczyzna.

Cwany Roztropek łypnął na niego ze złością.

– Ehe. To on zameldował o zaginięciu Briv.

Cętkowana Ptaszyna prychnęła pogardliwie.

– Naprawdę?

- Przecież wam powiedziałem.
- Nikogo więcej nie brakuje?
- Tego grubego pasażera, który zawsze łowi ryby.
- Aj!

Podmuch Piasta znowu złapał się za bandaż.

- Co ci dolega? – zapytał Cwany Roztropek. – Co ci się stało w głowę?
- Nie słyszałeś? – zdziwiła się Ptaszyna. – Ktoś wziął i uciął mu ucho – wyjaśniła. – Kiedy spał, jeśli potrafisz w to uwierzyć. A teraz ma fantomowe ucho.

- Słyszysz fantomy?

Trzej byli żołnierze gapili się na pierwszego oficera przez dłuższą chwilę.

- Słyszysz – potwierdził wreszcie Heck Urse. – Ale czasami go gryzą.
- To okropne!

Cwany Roztropek wyprostował się i zaczął oddalać, wychodząc z plamy światła rzucanej przez lampę.

Zapewne właśnie dlatego żadne z przykucniętych na trapie żołnierzy nie zauważyło, co pojawiło się nagle za plecami pierwszego oficera i odgryzło mu głowę.

* * *

Pokład *Słonecznego Loku* był małą plamką na falującym ospale morzu, daleko pod Beną Młodszą i jej chichoczącą matką. Nie sposób było dostrzec jego zarysów, plama czerni była jedynym dowodem na istnienie statku. Ze wszystkich stron otaczały go spienione fale, ich lśniąco-czerwonym blaskiem grzbiety oddalały się powoli w noc.

Słoneczny Lok dryfował z łopoczącymi żaglami, jakby był obojętny na wiatr. Niósł go prąd Czerwonej Drogi. Za kołem sterowym nie było widać nikogo, na olinowaniu tańczyły wyłącznie cienie, poniżej dziobu nie kołysała się oświetlająca drogę latarnia.

Większość załogi zgromadziła się przy luku ładowni. Wokół rozsypano przyzmy piasku, tworząc bezużyteczny krąg ochronny wokół nieszczęsnych marynarzy. Ujrawszy to, Bena Starsza ryknęła urywanym, przypominającym kaszel śmiechem.

Kapryśny wiatr nad ich głowami rozproszył cienką zasłonę chmur, ale widoczny w lukach świat wypełniała bezduszna czerń, w której nie było ani jednej gwiazdy.

Koniec Śmiechu słał ku temu obcemu niebu martwe westchnienia. Bena Młodsza przykucnęła, oplótłszy je rękami i przyciągnąwszy do piersi. Zalewały ją fale ślepego, rozpaczliwego strachu.

Jej matka rytmicznie kołysała wyschniętą głową, śpiewając na swój jękliwy sposób. *Żądza i śmierć wypełnią tę noc, mordercza gra miłości i skradzionych skarbów! Ach, ta utopijna sytuacja jest jak seksualne aspiracje filozofa... tak jest, wszyscy tancerze przystają, jakby ich swobodne stopy przyszpiliły straszliwe ćwieki rozumu! Szlachetna muzyka prokreacji! Niefartowny głupiec być może zgubił nas wszystkich... czy musimy błogosławić bezjajowego szaleńca i jego czyhacza czyhającego w zamkniętym kufrze? Ach nie, owo dziecko chronią zaiste potężne osłony, nałożone przez tego, do kogo nie trafiają argumenty! Ty i ja, ukochana, my dwie przetrwamy tę noc. Och, tak! Bena Starsza obiecuje! Jesteśmy tu bezpieczne przed głodną groźbą. Twa najdroższa, kochająca matka spuchła już do przyzwoitych rozmiarów. Tak właśnie działają westchnienia wędrujące Czerwoną Drogą, wyszeptana obietnica majestatu słusznie należącego się wszystkiemu co macierzyńskie, można mieć taką nadzieję, można, tak.*

Nie płacz, córko. Ogrzej się w nieustannym uścisku matki. Jesteś tu bezpieczna przed światem. Bezpieczna i jeszcze bezpieczniejsza. Dziewicza jest twoja krew, dziewiczy twój dziecinny umysł i dziewicza, o, tak, jest moc twojej duszy, twój najśłodzy pocałunek. To nim karmi się ta, która jedna cię kocha, to dzięki niemu może trwać.

Jesteś moja na wieki, nawet tej nocy, udowodnię to wszystkim, bez

względu na to, jak starożytne, przerażające i zdesperowane będzie to, co nadejdzie z dołu, by rzucić mi wyzwanie!

Pozwól, bym spijała każdy jęk z twych ust, córko. Moja siła rośnie!

* * *

Jeden krzyk. Oczy nagle się otwierają, ciało przeszywa lekkie, pierwotne drżenie. Dusza kuli się nerwowo, czeka na powtórkę, bo dopiero wówczas mrocznej tajemnicy można nadać twarz. Twarz przerażoną i przerażającą, wykrzywioną w grymasie bólu albo – oby! – rozpromienioną zachwytem. Niestety, to ostatnie pragnienie rzadko się spełnia, albowiem gdy złowrogie prawdy odkrywają się jedna po drugiej, wydaje się, że nie ma im końca.

Jeden krzyk. Oddech wstrzymany, serce zamarło. Co teraz?

Wtem rozbrzmiewają kolejne. Z trzech gardeł. To z pewnością... coś nowego.

Stukot i łoskot, nieadekwatne światło bijące z dołu pochyła się szaleńczo. Buty ślizgają się na deskach, krzyki stają się ochrypłe, gdy miękka tkanka ustępuje pod naporem dźwięku. To zatem jest miejsce i chwila, gdy wszystko zakołysze się na ostrzu noża, otworzy się przepaść, w wyciu wichru zabrzmi kamienne echo pustki... czy nadchodzi szaleństwo? Niosąc ze sobą ślepą przemoc i nieprzewidywalne zniszczenia? Słabo widoczne postacie wpadają na siebie, nogi depczą po twarzach o rozciągniętych ustach, sylwetki wychylają się za reling, kości pękają, krew tryska, brudne palce wyłupują oczy... och, pieśń bezlitosnego obłędu zawsze niesie ze sobą odmianę losu.

Głęboki, niosący się echem krzyk – to z pewnością by wystarczyło – stanowczy ton rozkazu, który zatrzyma dusze na krawędzi zagłady.

Gdyby tylko wśród załogi był ktoś o harcie ducha i żelaznym kręgosłupie, potrzebnych, by wykorzystać ulotną szansę ocalenia.

Ale parny, nocny wiatr przyniósł ze sobą przerażenie, które wniknęło w ciała i umysły, i teraz, po tym straszliwym krzyku, na pokładzie zapanował

chaos.

Życie, jak mógłby powiedzieć Bauchelain – gdyby miał ochotę wygłaszać komentarze – zawsze skłaniało się ku głupocie i w logicznej konsekwencji ku dramatycznemu samozniszczeniu.

Rzecz jasna, był zbyt zajęty wylewaniem niekończącego się strumienia nasienia w ledwie przytomną i bynajmniej niestawiającą oporu kapitan Sater, a jak wszystkim wiadomo, to właśnie jest szczytowy punkt wszelkiej ludzkiej cnoty, chwały i zachwytu.

* * *

W świetle kołyszącej się gwałtownie lampy widzieli ciało Cwanego Roztropka, które nie przestawało wierzgać nogami, nawet gdy z koszmarnego kikuta szyi trysnęła krew. Jego ręce poruszały się nerwowo, jakby przywiązano je do wojowniczych marionetek. Troje byłych żołnierzy cofnęło się jednocześnie w stronę latryny – nie tej, do której przed chwilą zajrzał Roztropek, bo ta zniknęła, ale do drugiej, położonej na dziobie. W rezultacie nogi im się poplątały i wszyscy zwałili się z wrzaskiem na pokryty pleśnią bok kadłuba. Rozległ się głuchy łoskot. Heck nie opuścił lampy. Łachy wszystkich trojga przemokły nagle i cuchnęły moczem, a w przypadku Podmucha również czymś gorszym.

Gdyby zabójca postanowił w tej chwili z nimi skończyć, mógłby to zrobić bez najmniejszego wysiłku. Nic ich jednak nie zaatakowało. Poza ich wrzaskami i łoskotem butów Cwanego Roztropka – a trzeba dodać, że również tupotem nóg spanikowanych ludzi na górze – nie było słycać zupełnie nic. Nic nie pełzło ku nim ukradkiem, nie odsłaniało z sykiem ociekających śliną kłów.

Mimo to, przerażenie mocno chwyciło ich za gardła, zwłaszcza w chwili, gdy Cwany Roztropek usiadł, wsparł się na rękach i kolanach, a potem podniósł chwiejnie na nogi. Krew zalewająca tułów pierwszego oficera

zrodziła w umyśle Hecka pełną trwogi i odrazy myśl, że mógłby chociaż zawiązać sobie serwetkę. Cwany Roztropek postąpił krok ku nim, wyciągając ręce przed siebie.

To jednak sprawiło, że stracił równowagę i cała trójka wrzasnęła ze zdwojoną głośnością, gdy upadł na nich bezgłowy pierwszy oficer.

Palce pociągały za to, co zdołały złapać, i Podmuch zawył przeraźliwie, kiedy oderwały mu drugie ucho, przynosząc błogosławioną symetrię. Po chwili jednak do jego umysłu przeniknął przerażający zgrzyt, zmagający się z niemilknącym szumem wody.

Wymachując na oślep kończynami, zdołał uciec poza zasięg rąk trupa i wpadł twarzą do dołu w szczelinę między trapem a kadłubem. Nagle poczuł, że w rozdziawionych ustach ma brudne futerko. Stworzenie wyszarpywało się rozpaczliwie, ale dławiący się mężczyzna zacisnął odruchowo szczęki. Żałosny pisk szczura zakończył się stanowczo zbyt wysoką nutą, jakby pękły pęcherze pełne powietrza. Usta Podmucha Piasty wypełniły ohydne płyny.

Jego żołądek zbuntował się ze spektakularnym efektem, wyrzucając nadgryzione zwierzątko na długość ręki mężczyzny. Gryzoń wylądował nóżkami do góry na przekrzywionym trapie. Z rozdziawionego pyszczka wystawał język.

Tymczasem Hecka Urse'a dusił bezgłowy pierwszy oficer, który najwyraźniej pragnął odzyskać głowę i doszedł do wniosku, że ta się nada. W rezultacie Heck zapomniał o niebezpieczeństwach związanych z palącą się lampą i w swej desperacji użył jej jako broni. Instynkt go zawiódł, gdyż tego rodzaju oręż nadaje się wyłącznie do uderzenia w głowę przeciwnika. Głowę, której nie było. Twardy, rozżarzony korpus wykonanej z brązu i wypełnionej płonącym olejem lampy uderzył Urse'a w twarz, łamiąc mu nos i podpalając brodę. Odrzucona przez oślepionego mężczyznę lampa poleciała w bok, zostawiając za sobą ślad płonącego oleju.

Ta ścieżka ognia kończyła się między nogami Cętkowanej Ptaszyny, która właśnie siadała. Gdy dolnej części jej ciała sięgnął żar, kobieta wierzgnęła

gwałtownie i odskoczyła do tyłu. Wylądowała na zdechłym szczurze i pośliznęła się na nim, uderzając z łoskotem o drzwi latryny. Straciła przytomność, spoglądając w górę.

Krew ugasiła tłącą się brodę i Heck mógł złapać obiema rękami dłoń zaciśniętą na jego gardle. Zaczął wyłamywać palce, jeden po drugim. Z odbytu Cwanego Roztropka wydostała się seria westchnień, zapewne znamionujących ból. W końcu Heck Urse zdołał się uwolnić, wlaźł pierwszemu oficerowi na plecy i zaczął go okładać pięściami z bezpłodną pasją.

Pojawił się Podmucha Piasta. Jego bezucha głowa wyglądała przerażająco w migotliwym blasku ognia. Wymioty pokrywające mu podbródek mieszały się ze spływającą po obu policzkach krwią. Wybałuszał oczy, wpatrując się w Hecka Urse'a.

– Zabij to! Zabij to! Zabij to!

– Próbuję, ty cholerny durniu! – warknął Heck. – Podaj mi miecz! Nóż! Podaj mi sznur, do cholery!

Podmucha Piasta wgramolił się z powrotem na trap.

– Sam go sobie weź! Ja tu nie zostanę! Nie ma mowy! Nigdy już nie zejść pod pokład!

Heck zaklął i sięgnął po nóż. Siedząc okrakiem na wrywającym się Cwanym Roztropku, obrócił się i przeciął mu ścięgna, najpierw w pierwszej, a potem w drugiej nodze.

– Spróbuj teraz chodzić! – warknął, a potem zachichotał, wczółgując się z powrotem na trap. Pisnął, gdy dotknęły go nadal pełgające płomienie, a potem polazł na czworakach do Cętkowanej Ptaszyny.

– Obudź się, kochanie. Natychmiast musimy stąd zmiatać. Obudź się!

Po trzecim mocnym policzku zatrzepotała powiekami, a potem otworzyła oczy, gapiąc się tępo na Hecka.

On jednak nie mógł czekać. Zaczął podnosić Ptaszynę na nogi.

– Chodź, słodziutka. Tu jest demon albo coś w tym rodzaju. Ten

skurczybyk Podmucha już zwiął. Chodźmy.

– Statek się pali. To niedobrze – oznajmiła, nadal patrząc nań bez śladu zrozumienia.

– Wyślemy tu załogę. Wszystkich marynarzy co do jednego. Oni ugaszą pożar.

– Świetnie. To niedobrze, kiedy wszystko się pali.

– Masz rację, kochanie. To niedobrze. Chodźmy już. Patrz pod nogi...

* * *

Heck Urse wciągnął mamroczącą coś Cętkowaną Ptaszynę po schodach na pokład, pozostawiając bezgłowego trupa samemu sobie. Cwany Roztropek spróbował wstać, lecz, niestety, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Przygnębiony pierwszy oficer usiadł na trapie. Przedramiona wspierał na kolanach, a dłonie zwisały luźno.

Iskierka życia nieraz skacze na wielką odległość. Potrafi zapłonąć w najbardziej nieoczekiwanym miejscu, przemknąć wzdłuż szlaków mięśni i nerwów jak wiewiórka, której odrąbano ogon. Czasami, nawet gdy życie umknęło, iskierka jeszcze nie gaśnie. Przez krótką chwilę.

Usiadłszy, Cwany Roztropek opuścił ramiona i zamarł w całkowitym bezruchu. Nawet strumień krwi wypływający z licznych ran ustał w końcu. Ostatnia kropla była długa i lepka.

Straszliwy zabójca zniknął bez śladu.

Płomienie, które szerzyły się po smołowanym kadłubie z łatwą do przewidzenia szybkością, nagle zamigotały i zgasły.

Na pomoście rozległy się ciche kroki, zbliżające się od strony latryny. Wielka, masywna postać obleczona w kolczugę pełnej długości, szeleszczącą w półmroku, miała łysą, matowoszarą głowę. Przykucnęła nad zmiażdżonym ciałem szczura, wyciągając dłonie o grubych palcach.

Z wiotkich ust Korbała Broacha wyrwał się cichy jęk.

To był ostatni szczur na pokładzie *Słonecznego Loku*. Jego umiłowany, choć tymczasowy sługa. Widział monstrum, które z taką swobodą i zachwytem zabiło pierwszego oficera. Rzecz jasna, głowa ofiary zniknęła. Tego należało się spodziewać.

Korbal Broach znieruchomiał, wyęzając słuch.

Panika na górze uspokoiła się nieco. Być może załoga opuściła statek. Och, to nie byłoby korzystne. Z pewnością ani kapitan, ani Bauchelain nie dopuściliby do tego. Czyż Bauchelain nie wiedział, że Korbal uwielbia te niezliczone pulsy życia, żalosne i nieszczególnie zdrowe? Były zapowiedzią zniw, tak jest, zniw, które mu obiecano, kiedy nie będą już potrzebne. Obiecano.

Jeśli marynarze naprawdę uciekli, Korbal Broach może być zmuszony ich ścigać...

Z ciemności dobiegł ochrypy chichot, rozbrzmiewający gdzieś w okolicy rufy.

Eunuch zmarszczył brwi.

– To nie było uprzejme – wyszeptał. – Wyrwałeś mnie z miłego zamyślenia. To było bardzo nieuprzejme.

Chichot ucichł.

– To ty – zabrzmiał zgrzytliwy głos.

– Ja – potwierdził Korbal Broach.

– To niemożliwe.

– Możliwe.

– Musisz umrzeć.

– To prawda. Któregoś dnia.

– Niedługo.

– Nie.

– Zabiję cię. Pożrę twoją głowę. Skosztuję gorzkiej słodczy tłustych policzków. Wychłopcę okrągłą kałużę krwi, która się zbierze pod tobą.

– Nie.

– Podejź bliżej.

– Mogę to zrobić – zgodził się Korbal Broach.

Wyprostował się i ruszył w stronę rufy. Przeszedł pod prostokątem nieco jaśniejszej ciemności, jakim był nadal niezamknięty luk. W zakutej w stalową rękawicę dłoni ścisnął topór o krótkim trzonku i sierpowatym ostrzu. Ociekająca oleistym płynem broń błyszczała złowrogo.

– Tym nie zadasz mi bólu.

– To prawda. Ale nie chodzi mi o ból. – Korbal Broach zachichotał. – Porąbię cię na kawałki. Nie będzie bólu. Tylko kawałki. Potrzebuję twoich fragmentów.

– Śmiały śmiertelniku, zaiste zmierzymy się ze sobą... ale nie w tej chwili.

Korbal Broach zatrzymał się. Poczuł, że demon zniknął. Rozczarowany eunuch wsunął trzonek topora za pas. Powęszył. Posmakował powietrza. Wsłuchał się w szum i plusk wody po drugiej stronie kadłuba. Wreszcie podrapał się po tyłku, odwrócił i ruszył w górę.

Nie dotarł na szczyt schodów. Ale przecież nie było to jego zamiarem.

* * *

Gdy spod pokładu *Słonecznego Loku* dobiegły krzyki, na śródkręciu zapanował chaos. Emancipor Reese przykucnął w wejściu do kajuty, spoglądając na tłum marynarzy, którzy wrzeszczeli, wyrywali sobie włosy, gryźli się i drapali, a także miotali się po pokładzie jak szaleni. Ciała wypadały za burtę. W ładowni rozległy się kolejne krzyki.

– Nie znowu to samo – mruknął.

Tak właśnie świat kręcił się wokół samego siebie niczym włosy łonowe targane zbłąkanymi powiewami, gdy portki są opuszczone i chłód dotyka wiecznie ukrytych miejsc – ukrytych jak odwrotna strona księżyca, tak jest – a życie po raz kolejny wymyka się spod kontroli, gdy makabryczne,

niesamowite sceny powtarzają się znowu. Niemalże spodziewał się, że zaraz usłyszy chrzęst drewna uderzającego o skały i lód, kwik koni tonących pod pokładem, ujrzy uciekające chwiejnym krokiem postacie o okrwawionych, pełnych przerażenia twarzach. Usłyszy zawrodoenie wichru nadchodzącego z mroku, jakby sama szalona noc gnała ku nim w ataku morderczego szału.

Powtarzał sobie jednak, że wszystko to wydarzyło się dawno temu. Na innym statku, w innym życiu.

Jeśli zaś chodzi o to życie, no cóż...

Emancipor Reese zacisnął mocniej dłonie na przesadnie wielkim mieczu Bauchelaina, wyprostował się i wszedł na pokład. Uniósł oręż wysoko nad głowę i ryknął:

– Marynarze, słuchajcie! Słuchajcie! Słuchajcie rozkazów, do cholery!

Stentorowe ryki zawsze wydawane przez oficerów i innych ludzi kierujących pracą na statkach mogły, jeśli los tak zrządzi, dotrzeć do maleńkich jak orzeszki ośrodków inteligencji, jakie można było znaleźć w mózgach większości marynarzy, mogły, jeśli Pani pobłogosławi, a Mael wstrzyma oddech, zmusić tych głabów do posłuszeństwa, przywrócić ład i rozsądek...

– To Mancy Niefartowny! To wszystko przez niego! Łapać go!

– O cholera.

* * *

Zrozpaczony utratą uszu Podmucha Piasta wystawił z luku krwawiącą głowę i wybałuszył oczy na widok szalonego ataku tłumu na lokaja trafnie zwanego Niefartownym. Nieszczęśnik trzymał w rękach ogromny miecz i wymachiwał nim groźnie, próbując powstrzymać rozwścieczonych marynarzy. Jeden z nich uderzeniem pachołka wytrącił mu jednak oręż z rąk. Podmucha gapił się na miecz, który zawirował w powietrzu... lecąc prosto na niego.

Wrzasnął przeraźliwie i odskoczył do tyłu. Między oczyma eksplodował ból. Twarz zalała mu krew. Uniósł do niej ręce i zamiast nosa znalazł tylko dwie tryskające pianą dziurki. Zwalił się na bok i odtoczył od luku. Mózg zalał mu okropny smród żelaza, zagłuszając nawet ból. W połączeniu z nieprzerwanym strumieniem wody, który wypływał teraz z jego na wpół oślepionych oczu, oraz jakimś cichym poskrzypywaniem dobiegającym skądinąd było tego za wiele dla jego przeciążonych zmysłów. Pochłonęła go błogosławiona ciemność, zalała czarna fala spokoju.

Na chwilę.

Pojawił się Heck Urse, taszczący Cętkowaną Ptaszynę. Rozejrzył się i zobaczył, że Podmucha leży nieruchomo z głową w kałuży krwi. Zapłonął w nim gniew. Położył kobietę na deskach i wy dobył krótki miecz. Przed chwilą nawet nie pamiętał, że go miał.

Około dwudziestu marynarzy tłoczyło się wokół czegoś, co znajdowało się u podstawy grotmasztu. Mieli linę. Nagle podnieśli nogami do góry jakieś bezwładne ciało, opierając je o maszt. Ręce nieszczęśnika zwisały luźno. To był Mancy Niefartowny, pobity do nieprzytomności albo i gorzej. Przywiązany za kostkę lokaj wznosił się w nagłych szarpnięciach ku niebu.

– Co wy wyprawiacie, do Kaptura?! – ryknął Heck, zmierzając w stronę tłumu.

Kobieta imieniem Mipple odwróciła gwałtownie głowę, obnażając zepsute zęby. Jej włosy wyglądały jak dawno porzucone gniazdo sępów.

– Niefartowny! Chciał zabić nas wszystkich! Złożymy go w ofierze Maelowi!

– Na szczycie grotmasztu? Opuśćcie go na pokład, durnie!

– Nie! – zawołał inny marynarz, który trzymał w ręce pacholek i kroczył dumnie, jakby to on stał na czele tłumu.

Heck łypnął nań ze złością, próbując sobie przypomnieć jego imię.

– Wister, tak?

– Jesteś szczurem lądowym, Heck Urse. Nie próbuj nam wmówić, że jest

inaczej. Tylko spójrz na siebie. Jesteś cholernym żołnierzem, dezserterem!

– Mancy nie ma nic...

– Uciął nos twojemu kumplowi!

Heck zasępił się jeszcze bardziej. Otarł krew z własnego nosa i usłyszał trzask.

– Naprawdę?

– Ehe, tym wielkim mieczem. Tym, który wbił się w reling. Widzisz na nim krew? To krew Podmucha!

Wszyscy potwierdzili chórem te szczegóły, kiwając głowami i spluwając po męsku na boki, by przydać emfazy słowom Wistera.

Heck schował miecz do pochwy.

– Dobra, w takim razie w górę z nim!

* * *

Kochana córko, co się do nas zbliża? Słyszysz szuranie i stukot, skrzypienie i trzaski? Bomba w górę, nadciąga oszalały demon! Zmysły nie zapłonęły, świeczka rozumu zgasła, przygotuj się, moja słodziutka, razem poderżniemy mu gardło i spuścimy deszcz krwi na tych głupców na dole!

Bocianie gniazdo kołysało się lekko, zataczając niewielkie kręgi. *Słoneczny Lok* wytracił prędkość i dryfował bezwładnie w poprzek Czerwonej Drogi Końca Śmiechu. Ludzie na pokładzie nadal biegali w tę i we w tę. W końcu rozległy się krzyki wzywające panią kapitan. Potem gruchnęła straszliwa wieść. Pierwszego oficera Cwanego Roztropka brutalnie zamordowała w ładowni jakaś tajemnicza bestia. Bestia, która ponoć potrafiła zniknąć bez śladu. Na pokładzie znowu zapanowała panika.

Bena Młodsza wyteęzała z drzeniem słuch. Wstrzymała oddech, gdy coś masywnego posuwało się powoli w górę masztu. Jeśli jej matka mówiła prawdę, dotrze aż na sam szczyt. Demon. Ścisnęła mocniej w dłoni mały nóż. Poderżnie mu gardło, tak jest. Przy pomocy matki.

Posłuchaj! Jest już prawie na miejscu!

* * *

Zlany potem Bauchelain stoczył się z kapitan Sater.

Kobieta jęknęła.

– Niezły łyczek – zauważyła.

Zamrugał, by usunąć z oczu szczypiący pot, i spojrzał na nią.

– Krwawe wino Toblakai ma straszliwe działanie. Najpokorniej przepraszam, pani kapitan.

– Już skończyłeś?

– Tak sędzę.

Zbroja, rzemienie, klamry i bielizna wały się po całej kajucie. Knot lampy przygasał. Kąty pomieszczenia wypełniły cienie, a światło nabrało złowieszczo krwawej barwy. Gdzieś w pobliżu było słycać kapanie, ale żadne z nich nie miało ochoty zbadać jego źródeł.

Sater usiadła nagle.

– Słyszysz coś?

– To zależy.

– Na pokładzie! Dryfujemy! Nikt nie stoi za sterem!

Przesunął spojrzenie po nagich piersiach pani kapitan. Zdarł z niej bluzkę w pierwszej chwili szaleństwa. Obfite wzdórki zakołysały się lekko, a potem podskoczyły, gdy sięgnęła po ubranie. Bauchelain ponownie poczuł poruszenie w kroku. Odwrócił wzrok z grymasem niesmaku.

– Mieliśmy omówić wydarzenia, do których doszło tej straszliwej nocy – przypomniał kobiecie. Sięgnął po noszoną pod kolczugą kurtę – szwy jednego z rękawów puściły – i wciągnął ją przez głowę. Potem odgarnął z czoła włosy barwy żelaza.

– Duchy – warknęła ze złością. Wstała i zaczęła wkładać nogawice, krzywiąc się przy każdym pociągnięciu.

– Nie tym razem – zaprzeczył, przeczesując palcami brodę. – To lisz.
Sater znieruchomiała, spoglądając na niego.

– Jak, w imię Kaptura, lisz dostał się na pokład mojego statku?

– Pomogły mu gwoździe i być może również coś innego. Korbak Broach z pewnością wie na ten temat więcej.

– A gdzie on się podział? Jestem pewna, że już o to pytałam.

– Przypuszczam, że wędruje po grotach. Zapewne poluje na istotę w labiryncie królestwa Kaptura. Mógłbym dodać, że to bardzo ryzykowne. Pan Śmierci nie darzy Korbaka Broacha zbyt dużą sympatią.

Przyjrzała mu się z uwagą.

– Kaptur zna twojego przyjaciela... osobiście?

– Bogów łatwo rozgniewać. – Bauchelain uniósł kolczugę. Ogniwą przepływały mu przez dłonie. – Muszę odzyskać swój miecz. Gdyby do naszego królestwa naprawdę wtargnął lisz, tu, na pokładzie *Słonecznego Loku*, stanęlibyśmy przed poważnym wyzwaniem.

– Wyzwaniem?

– Tak. Polegającym na ocaleniu życia.

– To nie była nasza wina! – zawołała.

Bauchelain przyjrzał się jej w skupieniu.

– Ścigają was. – Pokiwał głową. – Tak jak podejrzewaliśmy. Co za wami podąża, kapitanie?

– Skąd mam wiedzieć?

– Opisz waszą zbrodnię.

– To nie ma najmniejszego znaczenia. To nawet nie była zbrodnia. Nie naprawdę. Po prostu... wykorzystaliśmy okazję.

– Ach, pokusa, której się ulega, zapominając o strachu przed konsekwencjami.

– W rzeczy samej.

– Chwilowy kryzys etyczny.

– Zaiste.

– Korzyść zwyciężająca w walce z obowiązkiem...

– Można by tak powiedzieć, tak jest...

– Obrona opierająca się na słabości natury przystoi dzieciom i kąśliwym psom, kapitanie. Ty i twoi towarzysze jesteście dorośli, jeśli więc wyrzekliście się honoru, surowa kara jest sprawiedliwa i wymaga wielkiej widowni, tłumu, że tak powiem, który wyrazi swą cywilizowaną radość z nędznego, okrutnego losu, jaki was spotka.

Rozdziawiła na chwilę usta, po czym sięgnęła po pas z mieczem i szybko zapięła go na kształtnych biodrach.

– I kto to mówi.

– Nie rozumiem?

– Pokusa, kąśliwe psy i tak dalej. Ledwie mogę chodzić, niech cię szlag! Wydaje ci się, że lubię być gwałcona? Próbowałam nawet sięgnąć po nóż, ale wykręciłeś mi rękę...

– Powszechnie wiadomo, że krwawe wino, nawet w dawce kilku kropli w ustach albo na wargach, wywołuje u ofiary niepowstrzymaną żądzę. Pojęcie gwałtu traci znaczenie...

– Nic mnie to nie obchodzi, Bauchelain! Nie zgodziłam się, tak? Wkładaj tę kolczugę, w imię Kaptura. Może jej ciężar cię powstrzyma. Będę mogła spokojnie się zastanowić. Bez obaw, nie poderżnę ci gardła, dopóki kryzys się nie skończy.

– Przeprosiłem cię – obruszył się Bauchelain. – Impulsy, nad którymi nie byłem w stanie zapanować...

– Szkoda, że nie złapałeś swojego lokaja.

– Ponieważ nie mam tego rodzaju skłonności, zamordowałbym go, kapitanie.

– Jeszcze do tego wrócimy.

– Mam nadzieję, że nie.

Podeszła do drzwi i otworzyła je nagłym ruchem.

– Czarodzieju, czy mamy szansę zabić tego lisa? – zapytała, przystając w

progu.

Bauchelain wzruszył ramionami.

– Och, gdybym tylko mogła zabić ciebie.

Ponownie odpowiedział jej tym samym gestem.

* * *

Gdy tylko rygiel się zasunął i kroki kapitan Sater ucichły, Bauchelain się odwrócił – akurat na czas, by zobaczyć Korbała Broacha wychodzącego z tylnej ściany, której zarysy zamazały się nagle.

– Głupia kobieta – skwitował piskliwym głosem eunuch, zmierzając w stronę kufra. – Gdyby знаła prawdziwą nieobecność seksualnej przyjemności...

– Głupia? Bynajmniej. Od szoku przez wstyd do oburzenia. Miała prawo poczuć się znieważona moim zachowaniem i własną entuzjastyczną reakcją. Rozważam możliwość napisania traktatu na temat etycznych aspektów krwawego wina. Członek pobudzony chemicznymi środkami, niepowstrzymany przyływ pożądania przewyciężający wyższe czynności umysłu, to recepta na prokreacyjną i nie tylko prokreacyjną katastrofę. Czuję wielką ulgę na myśl, że krwawe wino jest bardzo rzadkie. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby wszyscy ludzie na świecie mieli do niego nieograniczony dostęp. Tańczyliby na ulicach, pełni fałszywej dumy i, co gorsza, bezczelnego samozadowolenia. Jeśli zaś chodzi o kobiety, gdyby mężczyźni bez przerwy się za nimi uganiali, wszystkie szybko utraciłyby swe organizacyjne talenty i pogrążona w hedonizmie cywilizacja boleśnie stanęłaby w obliczu upadku... czy raczej stanęłaby boleśnie... och, mniejsza z tym. Niewątpliwie potrzebna będzie staranna redakcja tekstu.

Korbał Broach uklęknął obok kufra i uniósł pokrywę. Osłony rozproszyły się z cichutkimi dźwiękami przypominającymi brzęk szkła.

Bauchelain zmarszczył brwi, spoglądając na szerokie plecy przyjaciela.

– To wręcz upokarzające, gdy robisz to w taki sposób.

– Ach! – zawołał Korbal Broach, pochylając się nad swym wijącym się, siorbiącym, bełkoczącym stworzeniem.

– Czy jest głodne?

– Och, tak, głodne, tak.

– Niestety – zauważył Bauchelain, stając za plecami towarzysza i spoglądając na monstrum, które pulsowało w mrocznym zamknięciu, kierując nań dwie dziesiątki paciorkowatych oczek – potrafi ścigać ofiarę tylko nadzwyczaj powoli. Nawet ślimak nie zdyszałby się zbytnio, umykając przed nim...

– Już nie – westchnął Korbal Broach. – Oddawałem się ostatnio pewnej rozrywce. Wyłapałem wszystkie szczury na pokładzie, tak?

– To prawda. Zastanawiałem się, jaki cel ci przyświecał.

– Dziecko porusza się teraz na niezliczonych nóżkach.

Bauchelain uniósł brwi.

– Przyłączyłeś do swego potomka łapki szczurów?

– Łapki, pyszczki, ogonki i grzbiety, tak jest. Dziecko ma teraz mnóstwo ust. Ostre zęby. Niezliczone nosy, uszy i ogony.

– Ale kto raczyłby się zgodzić, żeby go przeżuto?

– Dziecko będzie rosło, wchłaniając wszystko. Dzięki temu stanie się ruchliwsze, większe i jeszcze bardziej głodne.

– Rozumiem. A czy jego wzrost ma jakieś granice?

Korbal Broach uniósł z uśmiechem wzrok.

– Rozumiem – powtórzył Bauchelain. – Czy masz zamiar wysłać je w pościg za liszem? Do grot?

– Na łowy – potwierdził Eunuch, kiwając głową. – Uwolnię moje dziecko, żeby ruszyło na łowy!

Oblizął grube wargi.

– Załoga będzie zachwycona.

– Przez pewien czas – zgodził się z uśmiechem eunuch.

– No cóż, w takim razie zostawię cię samemu sobie i pójdę szukać miecza. Będzie mi potrzebny, kiedy twoje dziecko wypłoszy naszego nieproszonego gościa.

Jednakże Korbal Broach mamrotał już słowa czarodziejskich rytuałów, pogrążony we własnym, z pewnością przyjemnym świecie.

* * *

Emancipor Reese otworzył oczy i ujrzał przed sobą przerażające, wysuszone oblicze bezzębnej staruchy, z której niemal całkowicie zeszła skóra.

– Ciotka Nupsy?

Gdzieś w pobliżu rozległ się piskliwy śmieszek.

– Mam cię, demonie – oznajmił ochrypły głos. – Poderżnę ci gardło. Wytnę ci język. Wyrwę nos. Wyskubię brwi. Och, ból, jaki ci zadam, sprawi, że łzy popłyną ci z oczu, a krew z innych części ciała. Twe nerwy wypełni ogień cierpienia! Kto to jest ciotka Nupsy?

Emancipor dotknął ręką twarzy trupa i odepchnął go na bok. Zwłoki runęły z trzaskiem na wiklinową ścianę kosza.

– Zapłacisz mi za to! Widzisz ten nóż! Zaręczy się z twoim pępkiem! Przetnie ubranie, ciachnie nadgarstki i zlecisz na dół. Wszyscy na pokład! Mężowie to tylko strata czasu, więc nawet o tym nie myśl! Założę się, że cię nienawidziła!

Siniaki, guzy na czole, zmieszana z piaskiem krew na języku, pulsujący ból w nosie i może też parę stłuczonych żeber. Emancipor Reese spróbował przypomnieć sobie, co się wydarzyło, zorientować się, gdzie jest. W górze panowała ciemność, od siwowłosego trupa biła słaba, eteryczna poświata, ze wszystkich stron dobiegało lekkie poskrzypywanie oraz szum wiatru. A także czyjś głos. Emancipor obrócił się na łokciu.

Pod wiklinową ścianą kosza przycupnęło chude, wielkookie dziecko.

Dziewczynka ścisnęła w podrapanych rączkach nóż.

– Nie rób mi krzywdy – pisnęła jak myszka. – Ona nie jest dla ciebie, demonie! – dodała mądrym, ochryplym głosem, który Emancipor słyszał wcześniej. – Moje zęby rozszarpia ci gardło! Widzisz nóż w rękach mojej córki? Wypił już życie tysiąca wrogów!

Wokół jednej kostki miał owiazaną linę. Straszliwie otarła mu skórę. Bolały go wszystkie stawy, co nasunęło mu pewną teorię.

– To bocianie gniazdo. Te skurwysyny powiesiły mnie na maszcie. – Przyjrzał się uważniej dziewczynce. – Jesteś Bena Młodsza.

Wzdrygnęła się.

– Spokojnie, nie zrobię ci krzywdy. Jestem Emancipor Reese...

– Mancy Niefartowny.

– Od pewnych spraw człowiek nigdy się nie uwolni, nawet jeśli sprzyja mu szczęście.

Zachichotała.

– Szczęście?

– Ehe. Mam dobrze płatną pracę. Pewne źródło dochodów, uprzejmych pracodawców. Moja żona na pewno tańczy z radości na kurhanie na zapleczu naszego domu w Smętnej Laluni. Dzieci wreszcie są odrobaczone, mają czyste zęby i wszystkie nowoczesne udogodnienia. Tak jest, mój pech należy już do przeszłości, jest martwy jak większość ludzi, których znałem w owych czasach. Co więcej...

– Zamknij się. Gwoździe uwolniły się z desek, ty durniu. Duchy wyrwały się na swobodę, wyjące widma i fantomy, a jeden wyrósł nad pozostałe. Wyciąga pazurzaste dłonie, chwytając dusze, och, usłysz ich krzyki przeszywające eter! Łapie je, pożera i rośnie. Moc się gromadzi, warstwa po warstwie, złowroga zbroja uniemożliwiająca wyegzorcyzmowanie, słodka woń śmiertelnego życia wypełnia jego liczne nozdrza, ach, jakże teraz poluje, by wchłonąć wszystko w pełną kłów, zaślinioną, cuchnącą nieprzyjemnie paszczę o czarnych dziąsłach. Słyszę zgrzyt czaszek, które miażdży!

– Masz nie po kolei w głowie, dziecko? Dlaczego z twych młodych ust wydobywa się głos starej baby?

Bena Młodsza zamrugła.

– To matka – wychrypiała, wskazując głową na trupa. – To ona mówi, ona cię ostrzega. Dlaczego patrzysz na mnie tak dziwnie? Dlaczego ignorujesz straszliwe spojrzenie, które w ciebie wlepia? Bena Starsza cię ostrzega. Na dole jest coś straszego! Och, nie mamy dokąd uciekać!

Emancipor Reese usiadł z głośnym stęknieniem i zaczął rozwiązywać supeł na kostce.

– I tu właśnie masz rację, Beno Młodsza. Nie mamy.

Wiedział, że musi zachować wielką ostrożność w rozmowie z nieszczęsną dziewczynką. Dziecko najwyraźniej straciło rozum, uwięzione w wiklinowym koszu z matką, która nie żyła już co najmniej od kilku tygodni. Otchłań samotności i opuszczenia okazała się zbyt głęboka i dziewczynkę pochłonał wir szaleństwa.

Bena Młodsza odsłoniła nagle zęby, ujawniając powrót matki.

– Wszyscy zginą. Poza mną i moją córką. Kiedy tu przyjdzie, wespnie się na maszt, by sięgnąć do gniazda, to ciebie capnie za gardło, Niefartowny. A my będziemy się przyglądały, jak ściąga cię w dół. Usłyszymy trzask łamanych kości, bulgot wypływającej krwi, mlaśnięcie wyłupywanych oczu...

– Wydaje ci się, że was nie zwęszy? Twoją córkę na pewno, jej żywą krew, ciepło jej oddechu. Na martwiaki to działa jak magnes.

– Ukryję ją. W swych objęciach, tak jest!

Emancipor podniósł się z wysiłkiem i oparł o brzeg kosza.

– Może ci się uda. Życzę wam obojgu pociągnięcia Pani. Ja schodzę na dół...

– Nie możesz tego zrobić! Posłuchaj, co tam się dzieje! To obłęd! A demon się czai, spija ich przerażenie...

Jak na zawołanie, z dołu dobiegły kolejne krzyki, potwierdzające

prawdziwość straszliwych słów Beny Starszej. Powtarzały się, powracały, ponawiały. Podziemne, rozpaczliwe, pierwotne.

Maszt i bocianie gniazdo zakołysały się nagle, jak uderzone pięścią olbrzyma. Rozległy się ostre trzaski. Usłyszeli, że jedna z rej spadła na pokład.

– Na oddech Kaptura! – wydyszał Emancipor, trzymając się krawędzi kosza. Odwrócił się i spojrzał w dół.

Po pokładzie biegały jakieś cienie. Wszystko to przypominało raczej koszmar niż rzeczywistość. Obok luku leżało ciało. Lokaj nie widział, co uszkodziło maszt, dostrzegał jednak na smołowanym drewnie białe, niemal świetliste linie powiększających się pęknięć.

– Coś uderzyło nas u podstawy, być może nawet w ładowni.

Odwrócił się, by ostrzec Benę Młodszą przed niebezpieczeństwem, i ujrzał błysk noża, wymierzonego w jego głowę.

Białe światło!

Dzwony, Subly! Nie słyszysz cholernych dzwonów?

Och, żono, cóż teraz pocznę?

* * *

Ten kołyszący ruch był piękny, taki łagodny i delikatny. Lewa pierś Cętkowanej Ptaszyny była białą kulą pozbawioną śladów barwnika, co tworzyło cudowny, przyciągający spojrzenie kontrast z całą resztą ciała kobiety. Stąd właśnie wzięło się jej imię. Niestety, ów fakt nie stanowił dla załogi aż takiej tajemnicy, jak by tego chciała. Bogowie, w końcu była uwięziona na pokładzie z tymi wszystkimi gburowatymi marynarzami, a nieliczne kobiety wśród nich były brzydsze niż pryszczata dupa kapłana. Nie miała nic lepszego do roboty, a poza tym zarabiała w ten sposób pieniądze, tak? Forsa może im się przydać, bo nie wiadomo, czy ujdzie im na sucho to, co chcieli, żeby im uszło. Dlatego właśnie Cętkowana Ptaszyna nie miała

ochoty otwierać oczu.

Niestety, gdzieś przy fordeku wciąż było słycać krzyki. Co gorsza, ze schodów spływała krew, a może ktoś po prostu wylał wiadro słonej wody. Nie byłoby dobrze, gdyby się zmoczyła, prawda?

Otworzyła oczy i usiadła. Twarz miała zwróconą ku rufie, a drzwi kajuty po prawej były lekko uchylone.

Wysuwało się z nich coś wilgotnego, śliskiego i mrocznego, co włąziło powoli na schody. Liczne, czarne, paciorkowate oczka wyrastały bez ładu i składu z guzowatego, cętkowanego ciała. Śliskiego i wilgotnego, tak jest, wilgotno śliskiego. Kobieta słyszała skrobanie i szuranie, jakby o schody drapały maleńkie pazurki, a także cichutki szelest, puls narządów wewnętrznych tętniących pod przejrzystą, ociekającą płynem skórą. Połowa twarzy ulokowana pod fioletowawą naroślą, która mogła być wątrobą, skierowała na Cętkowaną Ptaszynę zaszklone oko. Potem stwór znowu się poruszył i cała twarz zniknęła pod spodem.

Kępki przetłuszczonych włosów, czarnych i prostych, jasnych i kręconych, kasztanowych i kędzierzawych – każda wyrastała z oddzielnego skalpu. A to było osamotnione czoło, pod łukiem którego nie było oczu, lecz coś, co można by uznać za pęcherzyk żółciowy, gdyby pęcherzyki żółciowe były zdolne do ironicznego, dociekliwego spojrzenia. Każdy jednak wiedział, że potrafią tylko łypać ze złością.

Cętkowana Ptaszyna uświadomiła sobie w końcu, że trzęsące się, siorbiące monstrum nie jest wytworem jej skromnej wyobraźni. O nie, to była rzeczywistość.

Stwór wpełzał na pokład, jakby jego tułów poruszał się na nóżkach wija. Była też pewna, że niezliczone, błyszczące oczka wpatrują się w nią z typową dla gryzoni żarłocznością. Ujrzała również zestaw małych, zębatych paszcz, które otwierały się i zamykały, ociekając śliną, a pod nimi szereg różowych nosków, maleńkich jak guziczki, które nieustannie węszyły, podczas gdy pyszczki kłapały złowrogo.

Kobieta jęknęła rozpaczliwie i zaczęła się cofać na czworakach.

Ze zjawy wysunęło się muskularne, ludzkie przedramię. Było umocowane w bardzo niedogodnym miejscu, a na jego nadgarstku widniał jaskrawy tatuaż wyobrażający bawiące się jagnięta. Spod fałd narządów wyłoniła się druga ręka, tym razem zdobiona czarnym tatuażem szczerzącego kły wilka. Palce wbijały się w pokład, łamiąc paznokcie, gdy stwór czołgał się naprzód niczym ogromny ślimak wabiony przez bryłę świeżego łąjna.

Wtem cielsko szczołgało się ze schodów i gigantyczny koszmar pomknął naprzód ze zdumiewającą prędkością. Z rozdziawionych ust Cętkowanej Ptaszyny wyrwał się pisk zdolny skruszyć szkło. Obróciła się, próbując się zerwać na nogi, i nagle runęła w dół, bo jej lewa ręka i noga wpadły do otwartego luku ładowni.

Zniknęła w mroku, odbiła się raz i drugi od stromych schodów i upadła z głuchym łoskotem na trap. Gwiazdy zatańczyły przed jej oczyma, lecz zaraz wessała je czarna otchłań, która potem pochłonęła również i ją.

Ten kołyszący ruch był piękny...

* * *

Kapitan Sater pociągnęła nieprzytomną Mipple do grotmasztu i oparła ją o drzewce. W prawej, urękawiczonej dłoni ścisnęła miecz. Strzępy jej bluzki splamiła krew. Szkoda, że nie miała czasu pójść do kajuty, by włożyć zbroję i być może uczesać też włosy. Zawsze to robiła po stosunku, bo nierozczesane włosy mogły się w coś zaplątać. Było już jednak za późno. Szkoda czasu na żale.

Zwłaszcza że ten cholerny lisz co chwila przenikał przez lite deski pokładu, łapał marynarzy w stanowczo zbyt liczne, trupie kończyny i ścigał wrzeszczących przeraźliwie nieszczęśników w dół. Wybijał przy tym dziury w pokładzie, ale tak małe, że nikt zdrowy na umyśle by nie uwierzył, że zmieściłoby się w nich ciało dorosłego człowieka. Widzieli to jednak na

własne oczy, prawda? Na straszliwie ostrych krawędziach połamanych desek pozostały fragmenty mięśni, skóry oraz ubrań.

Przebijiała się ku ofiarom przez spanikowany tłum, ale ani razu nie udało jej się dotrzeć do nich na czas. Choć była noc, Sater przyjrzała się liszowi na tyle dokładnie, by wiedzieć, że jej miecz zapewne zda się na nic w starciu z nim. Potężny stwór o wydłużonym korpusie o połowę przewyższał wzrostem dorosłego mężczyznę. Zmontowano go z trupów owiniętych w pergamin z ludzkiej skóry. Miał co najmniej tuzin rąk, a z barków, bioder, karku i policzków sterczały mu wydłużone, podobne do zwierzęcych pysków usta. Zaczerwienione, niemrugające oczy lśniły martwym blaskiem w niezliczonych miejscach. Każda noga była konglomeratem wielu kończyn, mięśnie owijały się wokół siebie jak warkocze, a klatka piersiowa sterczała z ciała na podobieństwo kufra. Otaczała ją solidna ściana żeber. Sater wiedziała, że nie miałyby szans jej przebić. Ten pancerz odbiłby nawet pchnięcie. A głowa... czyżby należała niegdyś do Cwanego Roztropka?

Miała jednak cholerną ochotę spróbować odrąbać te przeklęte ręce.

Przed nią przeczołgał się Wister. Płakał gorzej niż niemowlę, które sfajdało się w pieluchy. Ciągnął za sobą pacholek, niczym olbrzymią grzechotkę.

Ilu ich jeszcze zostało?

Rozejrzała się wokół. Na fordeku kuliło się trwoźnie kilkunastu marynarzy. Sześć promieniujących grozą dziur otaczało ich równym kręgiem. Fokmaszt złamał się gdzieś pod pokładem i przechylał teraz na bok. Gdzieś na górze zostało jeszcze kilka łopoczących na wietrze żagli i przy każdym podmuchu maszt kołysał się gwałtownie. Jeśli nadejdzie wichura... cholera, dlaczego Roztropek musiał dać się zabić? Ten maszt mógł w każdej chwili wylecieć za burtę albo zwalić się na fordek i zniszczyć jego większą część. Podejrzewała, że obie te możliwości oznaczałyby dla nich kłopoty. Jako kapitan powinna się zastanawiać nad takimi sprawami... och, bogowie! Chyba oszalała! Cholerny lisz pożerał jej załogę!

– Wister! Wstawaj do cholery! – Wyciągnęła zza pasa pęk kluczy. – Skrytka na broń jest w podłodze mojej kajuty. Weź ze sobą Hecka Urse’a. Heck! Daj sobie spokój z bandażowaniem Podmucha. Będzie żył. Idź z Wisterem. Przynieście kordelasy...

– Wybacz, kapitanie, ale nie mamy kordelasów.

– Nie mamy? Dobra, to przynieście pałki, pachołki i włócznie do odpierania abordażu...

– Ich też nie mamy.

– To co, do Kaptura, jest w mojej skrytce na broń?

– Nie zaglądałaś do niej?

Sater podeszła pół kroku bliżej do Wistera. Miecz w jej dłoni drżał.

– Gdybym zaglądała, nie musiałabym cię pytać. Mam rację, ty bezmózgi grzybie?

– Dobra. Kapitan Urbot trzymał tam swój zapas rumu.

Sater zakryła na chwilę twarz dłońmi.

– No tak – westchnęła, przyznając się do porażki. – W takim razie przynieście rum.

– Nareszcie gadasz do rzeczy! – zawołał z nagłym ożywieniem Wister. – Chodź, Heck, ty cholerny dezterterze! Nie mamy czasu do stracenia!

Obaj zeszli na główny pokład. Tupiąc głośno, pobiegli do kajuty i po chwili równie szybko wrócili. Twarz Wistera była biała jak grzbiety fal. Heck poruszał ustami, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Sater warknęła wściekle, odepchnęła ich pod reling i spojrzała w dół.

Po pokładzie, wzdłuż brzegu luku, pełzło coś, co wyglądało jak sterta odpadków z rzeźni. Stwór miał dziesiątki maleńkich oczek. Setki łysych ogonków, które ciągnęły się za nim. Ręce, fragmenty twarzy, kosmyki włosów, dziesiątki maleńkich, kłapiących zębami paszcz. Krótko mówiąc, był to najgłupiej wyglądający potwór, jakiego w życiu widziała.

Warknęła po raz drugi, zeskoczyła z kasztelu dziobowego, podeszła do stwora i gwałtownym kopniakiem strąciła go do ładowni. Absurdalna kupa

mięsa runęła w atramentową ciemność przy akompaniamencie chóru żalonych pisków. Z dołu dobiegł miękki łoskot, kolejne piski i być może również słaby krzyk. Nie była tego pewna, ale w końcu kogo to obchodziło? Odwróciła się i spojrzała ze złością na Wistera i Hecka Urse'a.

– Na co czekacie?

* * *

W ładowni, nieopodal latryny, lisz wdał się w spór z samym sobą. Dusze, ongiś uwięzione w żelaznych gwoździach wbitych w trupy, były zachwycone miazmatycznym konglomeratem ciał i kości, w którym się znalazły. To był świat krwi i mięsa, i żeby w nim bytować, należało się w nie zaopatrzyć. Bardzo rzadko zdarzało się, żeby czary nasyciły eter w stopniu wystarczającym, by umożliwić rzucenie podobnego zaklęcia. Miały wielkie szczęście!

By stworzyć ciało z krwi i mięsa, należało pożerać te substancje. Tak brzmiała jedna z prawd o świecie.

Fragmenty tożsamości przetrwały jednak i każdy z nich domagał się prawa do własnej opinii, każdy próbował osiągnąć dominację nad pozostałymi. Dlatego z rozlicznych ust lisza wciąż wydobywały się piskliwe głosiki. Stworzenie nadal stało nad rozczłonkowanymi, częściowo pożartymi marynarzami, większość których nie żyła. Tak jest, było słycać głosy, ale jeden milczał, milczał przez cały czas, choć kłótnia trwała, wypełniając mrok brzmieniem menażerii byłych jaźni.

– To kupiecki statek! Ładownia jest wystarczająco wielka! Jeśli zjemy wszystkich marynarzy, tak ogromna unia ciał i dusz powinna wystarczyć, by pokierować tą niewielką jednostką!

– Martwiak przedsiębiorcą? To żart, na jaki mógłby się zdobyć tylko jakiś złośliwy bóg – sprzeciwiła się inna dusza głosem, który brzmiał jak chrzęst żwiru pod stopami. Kroczący szedł bezlitośnie naprzód. – Czy na to nam

przyszło po niezliczonych pokoleniach wątpliwych postępów? Baltro, twoja obecność jest zniewagą...

– A twoja nie jest? – wychrypiał kobiecy głos. Brzmiał tak, jakby ktoś wziął słodkie tony kobiety i przejechał po nim ciesielskim narzędziem, gdyby coś takiego było możliwe, a czemu miałyby nie być? – Sekarand załatwił cię już dawno temu, a teraz wróciłeś, przykuty do dobrych ludzi, jakimi jesteśmy, niczym wrzód moralnego rozkładu...

– Lepszy wrzód niż brodawka! – wrzasnął czarodziej zamordowany dawno temu w Smętnej Laluni przez Sekaranda. – Czuję twój fetor, jędo Przynudziaro! Z pewnością padłaś ofiarą oburzonych salamander. Nic innego nie mogłoby wytłumaczyć twej upiornej, uporczywej...

– A co z tobą, Wiwiset? Sekarand zamknął cię w grobie otoczonym osłonami tak potężnymi, że nawet wspomnienie o tobie nie zdołało się wydostać! Dlaczego...

– Proszę, proszę! – zawołał kupiec Baltro. – Muszę o coś zapytać was wszystkich. Czy ktoś jeszcze czuje w pobliżu zapach własnego ciała?

Z około dwudziestu ust lisza wydostały się stłumione głosy wyrażające potwierdzenie.

– Wiedziałem! – ucieszył się kupiec Baltro. – Musimy znaleźć...

– Jako szlachetnie urodzonemu należy mi się pierwszeństwo – odezwał się inny głos. – Najpierw musimy odnaleźć moją osobę.

– Kim jesteś, na zakurzone imię Kaptura?

– Jestem panicz Hoom ze Smętnej Laluni, oczywiście! Kuzyn samego króla! Ja również wyczuwam bliskość jakiejś kluczowej części swego ciała. Tu, na tym statku!

– Kluczowej? To znaczy, że mózg odpada. Założę się, że to świński ryj.

– Kto to powiedział? – oburzył się panicz Hoom. – Każę cię obdrzeć ze skóry...

– Za późno, szlachetko. Już to zrobiono. I zanim ktoś z was zapyta, nie, nie pochodzę ze Smętnej Laluni. Nie znam żadnego z was. W gruncie rzeczy,

nie jestem nawet pewien, czy znam siebie.

– Gwoździe... – odezwał się były czarodziej Wiwiset, ale nieznajomy przerwał mu w pół słowa.

– Nie przyszedłem tu z żadnych cholernych gwoździ. Przysięgam, że wyczułem, jak wszyscy się zjawiliście, w tym również ten, który nie odzywa się ani słowem i zapewne bardzo dobrze, że tego nie robi. Nie, mam pewność, że byłem na pokładzie na długo przed wami, choć nie potrafię dokładnie określić, jak długo. Mogę powiedzieć tylko jedno: zdecydowanie wolałem ciszę i spokój, jakie tu miałem przed waszym przybyciem.

– Ty zarozumiałały snobie...

– Nie zwracaj na niego uwagi, Przynudziara – zaproponował Wiwiset. – Pomyśl o sposobności, jaka się przed nami otworzyła! Umarliśmy, ale zdołaliśmy wrócić, i wszyscy jesteśmy cholernie wkurzeni...

– Ale dlaczego? – wtrącił piskliwym głosem kupiec Baltro.

– Dlaczego jesteśmy wkurzeni? Ty durniu! Jak inni śmiać żyć, kiedy my umarliśmy? To niesprawiedliwe! To groteskowe zakłócenie równowagi! Musimy zabić wszystkich na pokładzie! Wszystkich! Zabić i pożreć!

Dusze wyraziły przeraźliwym wyciem swe poparcie dla tego planu. Mięśnie ust poruszyły się z różnym stopniem sukcesu, by udzielić głosu owej żądzy krwi, owej nienawiści do wszystkiego, co żyje. Na całym przerażającym, pokracczym cielsku lisza usta uśmiechały się, wykrzywiały, oblizywały chciwie i przesyłały całusy śmierci niczym obietnice kochanków.

W tej właśnie chwili z góry spadło coś wielkiego. Uderzenie wstrząsnęło całą stępką. Rozległy się inne głosy, bardziej piskliwe, płaczliwe i pełne bólu. Potem zrobiło się ciszej i można było usłyszeć zgrzytanie maleńkich ząbków.

– To jest... to coś! – wysyczał przerażony Wiwiset. – Poluje na nas!

– Czuję śledzionę! – pisnął panicz Hoom. – Własną śledzionę!

Ten, kto dotąd milczał, czyje milczenie było w rzeczywistości skutkiem dezorientacji, niezdolności do zrozumienia tych wszystkich języków, wyraził w końcu swoją opinię. Przerażone dusze umknęły przed zwierzęcym rykiem

Jhorligga, kryjąc się w zakamarkach zimnego mięsa i stygnącej krwi, składających się na zmontowane z wielu fragmentów ciało lisza. Strach odebrał wszystkim głos.

Nieskładne myśli Jhorligga miały się z siłą szalejącego sztormu.

Jeść! Szarpać! Uciekać! Płodzić! Jeśćszarpaćuciekaćpłodzić!

Jedenaście rąk lisza uniosło się ku górze. Krwawiące, poszarpane palce wygięły się na podobieństwo szponów, ścięgnię napięły się z siłą cięciwy kuszy. Gotowe do walki stworzenie zwróciło się w stronę monstrum, które pełzło ku niemu po drewnianym trapie.

Okropieństwo wlokło coś za sobą. Coś, co wierzgało rozpaczliwie, tłukąc buciorami o kadłub. Próbowało się wyrwać, ogarnięte bezrozumną paniką.

– Moja śledziona! – zawołał znowu panicz Hoom. – Moja śledziona chce mnie zjeść!

* * *

– Życie jest jak małż – tłumaczył ongiś Cętkowanej Ptaszynie jej ojciec. – Przez długie lata filtrujesz gówno, a potem jakiś skurwysyn otwiera cię i wpycha sobie do gęby. I to już koniec, kochana perełko, koniec.

Mieszkali nad jeziorem. Ojciec całe życie toczył wojnę z rodziną szopów o pola małżowe, które odkrył. Grodził płoty, rozstawiał sieci i robił wszystko, co tylko mu przyszło do głowy, by uniemożliwić zamaskowanym złodziejom pozbawianie go środków do życia. Niestety, gdy chodziło o inteligencję i zwykły spryt, przewaga leżała zdecydowanie po stronie szopów. W końcu doprowadziły staruszka do szaleństwa i wpędziły go do grobu.

Gdy Cętkowana Ptaszyna, która nosiła wówczas znacznie słodsze imię, spojrzała w martwą twarz ojca, wykrzywioną w grymasie ostatniego ataku gniewu, wyobraziła sobie, że jej przyszłość może wypełnić ta sama wojna, która go w końcu zabiła. Była ona jej jedynym dziedzictwem i nie mogła liczyć na to, że w niej zwycięży. Jakiego rodzaju przyszłość ją czekała?

Filtrowanie gówna, oczywiście.

Miała wtedy piętnaście lat. Spakowała swój niewielki dobytek, opuściła chatę na palach, wznoszącą się pośrodku błot, i po raz ostatni ruszyła Małżowym Traktem do Miasta Myta, gdzie zwykli sprzedawać wszystko, co zdołali zebrać. Szczerze mówiąc, była to nędzna miejscina. Jej wewnętrzne mury otaczały niewielki obszar, jaki zajmowała dwadzieścia lat temu, jeśli zaś chodzi o nowe budynki, które wyrosły od tego czasu poza ich obrębem, żaden miał nie więcej niż jedno piętro.

Jeśli człowiek weźmie patyk i wbije go głęboko w piasek w miejscu, gdzie sięgają fale w spokojny dzień, po jakimś tygodniu po jednej stronie kijka utworzy się kopczyk mułu, a po przeciwnej niewielkie zagłębienie. O ile sztorm nie wyrwie patyka, wzgórek będzie rósł, a zagłębienie powoli się wypełni.

Tak właśnie powstało Miasto Myta. Kamyk zatrzymany w piasku przez patyk, regularny, powolny napływ ludzi z okolicznych wiosek, gromadzących się wokół twierdzy. Około dziesięciu lat uporczywej wojny wymusiło wybudowanie fortyfikacji, potem zaś nastąpiły czasy „pokojowej harówki”, jak żołnierze zwykli zwać wszystkie te dzwony spędzone na bezużytecznych ćwiczeniach oraz pełnieniu straży na pograniczach, którym nikt nie zamierzał zagrażać.

Nie miała nic przeciwko zajęciu żołnierza. Nie przeszkadzali jej na wpół obłąkani głupcy, którzy służyli w jej drużynie. Podmuch Piasta, Krem Klakier, Żałośniak i Robaczywka. A także, rzecz jasna, Heck Urse, ten, z którym chodziła do łóżka, w równym stopniu z nudy, jak i z pożądania, choć prawda wyglądała tak, że nie było lepszego sposobu na nudę niż szalone, gwałtowne, stękające pożądanie. Dlaczego świat był pełen znudzonych kobiet – zamężnych albo żyjących w innego rodzaju związku – skoro wszystkie miały oczywiste rozwiązanie przed oczami? Albo w sąsiedniej chacie.

Szkoda, że stracili tamtej nocy Krema, Żałośniaka i Robaczywkę. Być

może to był przypadek, że ta druga łódź przewróciła się nagle w sięgającej pasa wodzie, a prąd odpływowy powłókł ją razem z wrzeszczącymi żołnierzami na głębinę. A może to tylko dzięki pociągnięciu Pani reszta ich grupy, w tym również Sater i Cwany Roztropek, płynęła w większej łodzi – wiozącej też wszystkie łupy – i dotarła do *Słonecznego Loku*, który zarzucił dziobową i rufową kotwicę w spienionym przesmyku.



Niewykluczone nawet, że Sater mówiła prawdę o tych łupach. Nowo wybite monety z mennicy Miasta Myta, srebro i złoto nietknięte jeszcze niczyją brudną ręką, tak jest, całe rulony. No cóż, widziała je, czyż nie tak? Widziała i dźwigała, unosiła z dna łodzi i przekazywała w czekające za relingiem ręce Cwanego Roztropka. Ale co z tym innym towarem? To były wielkie, okropnie ciężkie przedmioty owinięte w starą, workową tkaninę. Sterczały z nich jakieś wypukłości. Były wielkie jak bożki, niech je szlag, ale przecież w Mieście Myta raczej nie było bezsensownie bogatych świątyń, o jakich opowiadał Krem, który pochodził z Korelu i uciekł przed zesłaniem na Mur tylko dzięki temu, że wydał młodszego brata. Mieli tam ogromne świątynie, a tysiące biedaków oddawały ostatnie miedziaki do wielkich mis, choć kilkanaście epidemii pustoszących regularnie slumsy wyciskało z nich wszystkie soki. Tak jest, te świątynie były bogate. Mogły sobie pozwolić na cholerne bożki i wysadzane klejnotami misy do zbiórki datków. Nie miała nic przeciwko okradaniu tych świątobliwych, wysysających dusze oszustów. Ucieszyłyby się, gdyby owe owinięte w workową tkaninę przedmioty były właśnie takimi bożkami. Niestety, tak nie było.

Połowa monet w mieście, tak jest, cały łup zgarnięty przez Pieśniarzy – tych wrednych tyranów – po to, by kupić usługi cholernej kompanii najemników, tej całej Karmazynowej Gwardii. A po co jej potrzebowali? Chcieli zjednoczyć cały Stratem, ni mniej, ni więcej, i uczynić Miasto Myta jego stolicą. Koniec z potyczkami, wendetami, wojnami handlowymi między cholernymi faktorami działającymi gdzieś w buszu, koniec z zasadzkami i karawanami handlarzy futer palonymi tylko po to, żeby zagłodzić czyichś sąsiadów: dzieci, starców i wszystkich w pośrednim wieku. Najemnicy mieli zaprowadzić pokojową harówkę.

Cóż więc mieli zrobić, gdy przybyli na wybrzeże, gdzie rzekomo wysiadły setki ludzi z Karmazynowej Gwardii, i przekonali się, że tych durniów tam nie ma? Że odpłynęli w te pędy w jakieś inne miejsce?

Zawrócić i odwieźć to wszystko z powrotem do domu?

Sater miała lepszy pomysł.

Być może rzeczywiście był lepszy. Być może. Cętkowana Ptaszyna nie była już tego taka pewna, od chwili gdy jej głowa, ramiona i co najmniej jeden cycek utknęły w koszarnej masie młazszącego, siorbiącego, charczącego, świergoczącego, dyszącego, mrugającego, pulsującego, bełkoczącego... mięsa.

Utknęła, tak jest. A nawet gorzej. Połączyła się z nim. Roztopiła. Każdy oddech był haustem chłodnego, pełnego życia płynu. Powietrza? Nie, to nie było powietrze. Ślina? Być może, ale ślina przesycona tym składnikiem powietrza, który daje ludziom życie. Krew? Nie, płyn był zbyt rzadki. Za chłodny.

Oczy miała otwarte. Widziała głównie czerwień, a także kilka pulsujących tętnic i żył. Nie musiała już nawet mrugać, ponieważ chłodny płyn, tym razem być może żółtawy, ale przejrzysty jak powieka węża, chronił wszystko przed wyschnięciem.

Tkwiała w okropieństwie, które lazło powoli przed siebie, ciągnąc ją za sobą. Próbowwała stanąć na nogach, ale podejrzewała, że to nie będzie możliwe. Nigdy nie zdołałaby unieść całego obrzydlistwa, nawet w ramionach, a już z pewnością nie tutaj, na chwiejnym trapie.

Och, cóż to za paskudna śmierć. Cóż za paskudna postać życia, w gruncie rzeczy. Śmierć byłaby czymś dobrym, tak jest, bardzo dobrym.

* * *

Bauchelain wyszedł na śródokręcie zapewne niezauważony przez nikogo. Znalazł tam miecz, wbity w reling po lewej stronie. Pięć wyżej i cenna broń wyleciałaby za burtę. Na czerwono-czarnej klindze błyszczała krew. Czarodziej wyrwał miecz, przystanął i obejrzał się za siebie.

Coś...

Zaciekawiony Bauchelain szedł po schodkach na pokład rufowy. Za

sterem nie było nikogo, płetwa sterowa poruszała się swobodnie na falach, kręcąc kołem w obie strony. Czarodziej zmarszczył brwi, rozczarowany aż tak nieprofesjonalnym zachowaniem, i przystanął przy rufowym relingu. Spojrzał w dół, na mroczną Czerwoną Drogę Końca Śmiechu.

Karmazynowe fale, karmazynowa fosforescencja, zygzakowaty, pełen niespodziewanych zakrętów ślad torowy. Zauważył smugę na powierzchni wody, a potem przywiązaną do relingu linę. Ciągnęli za sobą przynętę, co w obecnej sytuacji mogło nie być zbyt rozsądnym pomysłem. Zapewne była to robota Korbala Broacha. Bauchelain pogłaskał w zamyśleniu brodę.

Na dziobie coś się poruszyło. Odwrócił się i wyteżył wzrok. Lisz uderzył znowu. Bezmyślny głód Jhorligga zaraził wszystkie dusze. Niestety, błędne przeświadczenia zawsze były przekleństwem martwiaków. Niemniej jednak, biorąc pod uwagę potężną nutę nagiej mocy wyczuwalną w prądach tutejszych mórz, nawet błędne przeświadczenia mogły się... ucieleśnić.

Lisz pożerał. Dzięki temu jego masa i siła rosły. To była bardzo osobliwa ewolucja, być może nawet jedyna w swoim rodzaju. Niewątpliwie warto by było ją zbadać.

Kolejna ofiara wydała z siebie śmiertelny krzyk.

Dźwięczny jak ton szarpniętej struny dźwięk ponownie przyciągnął uwagę Bauchelaina. Lina poruszała się w przód i w tył. Coś rzeczywiście połknęło przynętę. Rekin? Niewykluczone.

Lina nagle zwiotczała.

Pękła? Najprawdopodobniej.

Nagle ujrzał w ich śladzie torowym trójkątne płetwy. Wszystkie okręwały statek z wielką prędkością. Jeden z rekinów wyskoczył nad powierzchnię, zaledwie na odległość rzutu nożem od płetwy sterowej. Jego długość wynosiła dwie trzecie długości statku. Bestia zakręciła nagle, by uniknąć zderzenia z rufą, i przemknęła obok *Słonecznego Loku*, ocierając się o burzę. Błysnęło wielkie jak okrągła tarcza oko i stworzenie zniknęło w głębinie.

Bauchelain uświadomił sobie, że rekiny uciekają.

No cóż, w tych wodach faktycznie roiło się od dhenrabich. Jeden z gigantycznych, segmentowanych lewiatanów pruł fale w odległości tysiąca ruchów wiosła na wschód. Poruszał się zdumiewająco szybko. Prześcigał nawet rekiny...

Bauchelain ponownie przeczesał brodę palcami.

* * *

Bandaż spowijał twarz Podmucha Piasty tuż poniżej oczu i otaczał głowę ciasnymi zwojami. Na białym materiale widniały trzy ciemnoczerwone plamy, jedna pośrodku twarzy i dwie po bokach, mniej więcej na tej samej wysokości.

Słyszał jakieś dźwięki. Z jednej strony świergotanie i zgrzytanie zębami, a z drugiej szum wody. Doszedł do wniosku, że można to wytrzymać, lecz nagle – po stronie szumiącej wody – coś uderzyło go z wielką siłą. Jego ciało wypełnił paralizujący, niemożliwy do zniesienia ból. Atak był tak potężny, że żołnierz przygryzł język i w rezultacie krew wypłynęła również z jego ust.

Przed chwilą klęczał na fordeku, spoglądając z wyrzutem na pozostałych marynarzy, którzy drwili z niego swymi kompletnymi twarzami, różowymi nosami i uszami koloru kałamarnic, o doskonałych zakolach i ślicznych płatkach. Teraz jednak zwałił się na bok i zwinął z bólu w uchu, którego już nie miał.

Drugie utracone ucho zaatakowały nagle lekkie, szczypiące ukąszenia. Cholera, to była jedna z najgorszych nocy w jego życiu.

Heck Urse podczołgał się do niego z nożem w ręce. Podmuch wzdrygnął się na ten widok.

– Nie zrobię ci krzywdy, ty idioto! To dla obrony, kiedy ten lisz znowu się pokaże. Bogowie, można by pomyśleć, że już napełnił brzuch. Popatrz na Mipple, dopiero przed chwilą oprzytomniała. Minęła ją najlepsza zabawa, czyż nie tak? Nie cierpię, kiedy ludzie to robią. Tak czy inaczej, chciałem dać

ci to... – Pokazał drugą rękę, w której trzymał gliniany dzbanek. – Rum!

* * *

Kapitan Sater pociągnęła kolejny łyk, a potem odrzuciła pustą butelkę na bok. Zastanawiała się, w której chwili wszystko zaczęło iść źle. Jasne, kradzież sześciu posągów sech'kellynów zapewne nie była zbyt dobrym pomysłem, biorąc pod uwagę wszystkie opowieści o straszliwych klątwach, jakie ponoć rzucono na te cholerstwa. Znaleźli je pochowane w równym szeregu pod gruzami budynku w Zaułku Unikania, tuż za Twierdzą Myta. Przerażające, przykucnięte figurki wykonano z jakiegoś zagranicznego, białego jak kreda marmuru. Po paru stuleciach narażania na królewskie nieczystości i resztki z kuchni pokryły je liczne plamy. Widok wychudłych, pozbawionych wyrazu twarzy mroził krew w żyłach. Owo wrażenie wzmacniały jeszcze wykonane z czarnej blachy stalowej oczy oraz kły – najwyraźniej odporne na rdzę – a także niezwykle kończyny, wyposażone w zbyt wiele guzowatych stawów, zgięte w dwóch miejscach kolana, głowy wysunięte do przodu jak u drapieźnych ptaków, wydłużone palce, i – co najdziwniejsze – żelazne obroże na cienkich szyjach, jakby sześć istot było czymiś psami.

Nadworny mag nazwał je sech'kellynami, cokolwiek mogło znaczyć to słowo, i natychmiast zagarnął dla siebie. Sater należała do grupy pechowych durniów, którzy musieli dźwigać posągi do przypominającej ul apteki czarodzieja, położonej na szczycie jedyne w mieście wzgórza. Po tygodniu zniosła je z powrotem do twierdzy. Zamknięto je w dawno nieużywanym magazynie, który wyposażono w nowe żelazne drzwi. Mag umieścił na nich tyle ochronnych znaków i pieczęci, że kiedy skończył, drzwi wyglądały jak spłaszczony żurawie gniazdo.

Nieszczęsny czarodziej oszalał wkrótce potem. Jeśli nawet miało to jakiś związek z posągami, żaden przedstawiciel władz nie chciał o tym mówić.

Sater nie była jedyną osobą, która zapłaciła znaczną sumę za rytualne oczyszczenie w świątyni Soliel za Studnią Czystej Wody. Wszyscy żołnierze, którzy dotykali posągów, zrobili to samo, poza jednym kapralem Stebem, który czyścił sobie nos sztyletem, gdy drzwi, do których się zbliżał, otworzyły się nagle i sztych wbił się w jego mózg. Szczerze mówiąc, to zdumiewające, że nóż zdołał go odnaleźć. Potem wszystko się uspokoiło i wyglądało na to, że udało się im uniknąć klątwy. Co prawda, mag utopił się w misce wypełnionej wodą z mydłem, ale w końcu był już wówczas szaleńcem, więc nikogo to zbytnio nie zaskoczyło.

Wreszcie jakiś bystrzak postanowił ofiarować posągi w darze Karmazynowej Gwardii. W końcu gwardziści ponoć wiedzieli bardzo wiele o tajemnych sprawach. Sater podejrzewała jednak, że mogło chodzić nie tyle o dar, ile o niezbyt szlachetne pragnienie pozbycia się tych szkaradzieństw.

A potem je ukradła. Dlaczego? Jaki szalony impuls nią zawładnął, zacisnął się wokół jej gardła niczym szkieletowa dłoń? Powinni je wyrzucić za burtę, tak jest, natychmiast wyrzucić.

Czy to ich klątwa powołała do życia tego cholernego lisza?

Musi się ich pozbyć. Teraz, nim będzie za późno...

Pod pokładem eksplodowały krzyki. Brzmiały tak przerażająco, że nawet jej rozgrzana rumem krew zrobiła się zimna jak lód. Potem rozległ się huk, jakby dwie wielkie masy uderzyły o siebie. Cały statek zadrżał. Znowu usłyszała krzyki, a po nich łoskot wymienianych z wielką siłą i zawziętością ciosów.

Sater rozejrzała się wokół. Serce tłukło jej jak szalone. Wypatrzyła trójkę marynarzy skulonych przy dziobie.

– Briv! I ty, Briv! I ty też, Briv! Weźcie klucz od skarbcza...

– Mamy zejść pod pokład?! – wrzasnął któryś z nich.

– Na dziobie. Tam jest spokojnie. Znajdźcie tam sześć posągów zawiniętych w tkaninę. Macie je wynieść na górę, jasne? Wynieść na górę i wyrzucić za burtę! Migiem!

Obok niej nagle pojawiła się jakaś postać. Była wysoka i masywna. Błada, puciołowata twarz o obwisłych policzkach zwróciła się ku Sater. Spojrzały na nią błyszczące, paciorkowate oczy. Poruszyły się grube usta.

– Posągów?

* * *

Briv kuchcik spojrział na Briva pomocnika cieśli, a potem na pociągającą nosem Briv splatającą liny. Jej pomarańczowa czupryna była dziwnie rozczochrana, wydawała się niemal przekrzywiona. Na twarzach jego towarzyszy malowało się przerażenie. Jego oblicze z pewnością wyglądało podobnie. Przed nimi schodził straszniejszy z dwóch pasażerów (trzech, jeśli liczyć lokaja, ale przecież lokajów nikt nigdy nie liczył), ten potężnie zbudowany, o okrągłej twarzy, grubych ustach i piskliwym głosiku.

Sprawiał wrażenie, że w ogóle się nie boi, a to z pewnością znaczyło, że jest obłąkany.

Eskortował ich do skarbcza. Pod jego grubym czarnym płaszczem z wełny szeleściła kolczuga pełnej długości. Splótł pulchne białe dłonie, jakby był jakimś cholernym bratem zebrzącym albo kimś w tym rodzaju.

Wszyscy zginiemy. Może oprócz niego. Tak zawsze się dzieje. Ci, którzy dowodzą, ratują życie, a cała reszta je traci. Nie, on przeżyje, i kucharz też, bo przecież nikt nie lubi gotować, a do tego kucharz jest poetą.

Nie, naprawdę poetą. Kaptur wie, że na pewno nie jest kucharzem.

Gdyby chociaż z poezją jakoś sobie radził. Nie umie śpiewać, grać na żadnym instrumencie ani rymować, bo rymowanie jest poniżej jego godności.

Śniło mi się coś.

Przyśniła mi się

Maszerująca obok armia.

Wszyscy żołnierze mieli

*Nogi ucięte w kolanach.
Musiało im być ciężko,
Bo to była piechota.*

Ehe, to ostatnie dzieło kucharza, jego poranny pean na cześć pomyj, które nalewa nam do misek. Ta jego nadęta twarz i ta rytmiczna kadencja, jakby w bezsensownych słowach, które wykrztusza z gardła, kryła się jakaś głębia. W swoim czasie czytałem poezję, tak jest, i słyszałem, jak ją recytowano. Recytowano, śpiewano, wyjękiwano, bełkotano, miauczano, chlipano, wykrzykiwano, wyszeptywano, wywarkiwno. Który marynarz tego nie słyszał?

Ale co my w końcu wiemy? Nie unosimy cienkich, jak namalowane pędzlem, brwi nad zimnymi, pełnymi chciwości oczami. O nie. Jesteśmy tylko słuchaczami, którzy brną przez psychiczne traumy jakiejś cioty, jak idioci gapiący się w zwierciadło. Wszystko to miłość pomieszana z nienawiścią, masturbacyjne ruchy, a my, gdy nadejdzie chwila spełnienia – spełnienia, ha! – mamy jęczeć i poruszać biodrami w lingwistycznej ekstazie.

Proszę bardzo, niech kucharz sobie pieści swoją chochlę, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Briv pomocnik cieśli trącił go łokciem.

– No, dalej.

– Odczep się – warknął Briv kuchcik. – Przecież idę, nie?

Ruszyli w dół po stromych stopniach, schodząc do ładowni, którą zawładnęła groza. Przynajmniej na drugim końcu, obok latryny. Wszyscy trzej żeglarze (albo dwaj żeglarze i jedna żeglarka, która w rzeczywistości również była żeglarzem) rozpaczliwie potrzebowali się załatwić.

* * *

Briv pomocnik cieśli szedł krok za Brivem kuchcikiem i krok przed Briv

splatającą liny. Jeśli splatała je równie nieudolnie jak własne włosy, zapewne lepiej służyłaby statkowi jako kucharka. Bo kucharz był przecież poetą.

Ale gdyby nie było komu splatać lin, wszystko mogłoby się rozsypać, a to by nie było korzystne. Od strony dziobu nadal dobiegały odgłosy walki demonów. Gdyby się pochylił i spojrzął za siebie przez lukę między stopniami, na których stał, mógłby zobaczyć fragment pojedynku warczących, syczących, kłapiących zębami, tupiących bestii. Ale co by mu z tego przyszło, hej? Zupełnie nic. Walczący tłukli w cenny kadłub, łamali deski, wyrywali uszczelnienie i ryli paskudne rysy. Jakby rafy, mielizny, skały i niekompetentni marynarze sprawiali im za mało kłopotów, mieli jeszcze na głowie bezmyślne demony powodujące najrozmaitsze uszkodzenia.

Gdyby tylko cieśla znał się na swojej robocie, wszystko byłoby w porządku, prawda? Ale to był kompletny dureń. Zabicie go było darem dla świata. To dziwne, że jego śmiertelny krzyk zaczął całą tę sprawę i teraz ludzie ginęli na lewo i prawo. O właśnie, to był Cwany Roztropek, a przynajmniej jego trup. Siedział sobie rzut gwoździem od schodów, jakby czekał na powrót głowy. Dziwnie wyglądał do góry nogami, a jeśli chodzi o walczące dalej w mroku potwory, no cóż, na szczęście trudno było cokolwiek wypatrzeć...

– Niech cię szlag, Briv – wysyczała Briv splatająca liny. – Próbujesz złapać własne gówno w usta, czy co?

– Damy nie używają takiego słownictwa – poskarżył się Briv. Wyprostował się i postąpił pośpiesznie dwa kroki naprzód, żeby dogonić Briva kuchcika. – Trzeba było wziąć lampę.

Olbrzymi eunuch zszedł już na trap. Nie poczekał uprzejmie na marynarzy, lecz ruszył prosto do znajdującego się na rufie skarbcza. Briv kuchcik nie powinien był dawać bezwłosemu odmieńcowi klucza. Briv pomocnik cieśli mógłby go z łatwością powstrzymać...

– Aj! Depczesz mi po nogach, kobieto!

– Pośpiesz się, Briv! Za mną siedzi bezgłowy facet!
– W ogóle na ciebie nie patrzy.
– Czuję na plecach czyjeś spojrzenie! Przysięgam!
– To nie on. On gdzieś zgubił głowę.
– Posłuchaj, kobieta czuje, kiedy ktoś się na nią gapi. Na statku jest jeszcze gorzej, przez tych wszystkich zboków.
– Jakich znowu zboków?
– Co ty tam wiesz. Jestem jedyną porządną kobietą na pokładzie i to wszystko skupia się na mnie.
– Kto się na tobie skupia?
– Chciałbyś wiedzieć.
– Szczerze mówiąc, nie bardzo. To tylko zwykła ciekawość.
Być może również przerażenie, ale zawsze warto być uprzejmym dla kobiety. Nawet takiej, której piersi podskakują w górę i w dół jak korkowe boje na fali.
Eunuch zatrzymał się przed drzwiami skarbcza.
Briv, Briv i Briv przystanęli tuż za nim.
– Czy to dobry pomysł? – zapytał kuchcik, gdy eunuch wsunął klucz do zamka.
– Ooch – westchnęła splatająca liny.
Klucz się obrócił. Zapadki trzasnęły.
– Czy to dobry pomysł? – zapytał ponownie kuchcik.

* * *

Sech'kellyny same w sobie były nieprzyjemne, ale sech'kellyny w czarodziejskich kołnierzach, no cóż, to była fatalna wiadomość. To były swego rodzaju homunkulusy, stworzone przez Jaghutów na wzór – jak mówili nieliczni, którzy wiedzieli wystarczająco wiele, by wypowiadać się w tej sprawie – starożytnej rasy demonów zwanej Forkassailami. Były białe jak

kość, miały za dużo kolan, kostek, łokci, a nawet barków. Jako perfekcyjniści najgorszego rodzaju Jaghuci stworzyli gatunek zdolny przekazywać swe cechy potomstwu. Co jeszcze bardziej dla nich typowe, potem wzięli i wymarli niemal całkowicie, pozwalając swym stworzeniom robić, co tylko zechciały, a to z reguły oznaczało zabijanie każdego, kto się napatoczył. Przynajmniej do chwili, gdy zjawił się ktoś potężny, kto zakuł ich siłę życiową w łańcuchy i być może też pochował je gdzieś, gdzie nikt ich nie znajdzie, na przykład w nędznym zaułku w szybko rozrastającym się mieście.

Czarodziej dysponujący wystarczająco potężną mocą mógł następnie obudzić przymus wiążący owe stworzenia i podporządkować je swojej woli. Rzecz jasna, w złowrogim i niegodziwym celu.

Być może to właśnie uczyniono sześciu sech'kellynom zamkniętym obecnie w skarbcu.

Okazało się jednak, że prawda wygląda zupełnie inaczej.

Znacznie gorzej.

Och, tak.

* * *

Czarodzieje potrzebują sług. Tych, którzy ich posiadali, zawsze można było poznać po tym, że siedzieli dniem i nocą w swych wieżach, knując spiski mające im umożliwić zapanowanie nad światem. Codzienne obowiązki wykonywał za nich ktoś inny. Czarodzieje pozbawieni sług nie mieli czasu zaplanować nadejścia czarnej epoki tyranii, nie wspominając już o uczynieniu wszystkiego co potrzebne, by wprowadzić te plany w życie. Stosy brudnych naczyń i ubrań wciąż rosły. Kurz gromadził się, grożąc uzurpacją. Wiewiórki robiły dziury w dachu i od czasu do czasu wlażyły w szczeliny w ścianach, z których nie mogły się potem wydostać. Ginęły w nich więc, a ich z mumifikowane trupki miały groteskowe miny, bo gryzonie zużyły przedtem zęby na bezowocnym gryzieniu cegieł.

Mizzankar Druble z Jhantu – to było miasto na Stratemie, które już przed stuleciami obróciło się w proch i mieszkańcy Przystani Jatema, nowej osady zbudowanej w odległości niespełna trzech tysięcy kroków nad tym samym brzegiem, w ogóle nie podejrzewali, że kiedykolwiek istniało – tak więc Mizzankar Druble z Jhantu – wszyscy dawno umarli ludzie zgadzali się, że był on niezwykle straszliwym czarodziejem, magiem, zaklinaczem, taumaturgiem, a do tego brzydalem – tak jest, Mizzankar Druble z Jhantu – który w jedną noc zbudował wieżę z czarnego, chropowatego, pełnego pęcherzyków powietrza kamienia, choć wokół szalał sztorm, co było powodem, dla którego wieża nie miała okien ani drzwi, no ale w końcu sięgała zaledwie kolan i była szeroka tylko na stopę, jakby to miało jakikolwiek sens, bo w końcu Mizzankar był wysoki i gruby i z tego właśnie powodu wszyscy, którzy już nie żyli, doszli do wniosku, że musiał zbudować tę wieżę od środka, ponieważ biedny dureń został w niej uwięziony i jeden Kaptur wiedział, jakie straszliwe plany tam knuł, co z nawiązką usprawiedliwiało te wszystkie gałązki i polana, i ogień, na którym upiekli złego czarodzieja jak orzech w skorupie – Mizzankar Druble z Jhantu, jednym słowem, był czarodziejem, który korzystał ze sług.

Jak psy myśliwskie, które potrzebują pana, sech'kellyny były wymagającymi sługami. Co więcej, zleczone im zadanie wymagało czasu i nie było zbyt interesujące. Mizzankar Druble – który w rzeczywistości był tylko pomniejszym czarodziejem cechującym się niefortunną skłonnością do odprawiania rytuałów stanowczo zbyt potężnych, by mógł nad nimi zapanować, a jeden z nich – nieopatrznie rozpoczęta walka z nieumarłą wiewiórką – doprowadził do przerażającej erupcji stopionej skały, która otoczyła go ze wszystkich stron, gdy stał w swym żalnym kręgu ochronnym, tworząc w ten sposób więzienie, z którego nie miał już uciec – ale Mizzankar Druble miał wystarczająco wiele rozumu, by korzystać ze sług, a ponieważ był szczęśliwym właścicielem sześciu demonicznych sech'kellynów stworzonych w akcie nienawiści przez jakiegoś nieszczęsnego

Jaghuta, uświadomił sobie w spazmatycznej chwili jasności umysłu, że potrzebuje potężnego, najlepiej olbrzymiego, demona, który będzie mógł przejąć brzemień rozkazywania sech'kellynom.

By wezwać podobną istotę, Mizzankar rzucił najbardziej skomplikowane i najambitniejsze zaklęcie w całym swym życiu i rzecz jasna otrzymał znacznie więcej niż się spodziewał. W gruncie rzeczy, był to starożytny, niemal całkowicie zapomniany bóg. Pojedynek na siłę woli, który odbył się potem, trwał żałośnie krótko. Mizzankar Druble z Jhantu w kilku ostatnich dniach swego życia, zanim wieśniacy upiekli go żywcem, był zmuszony szorować baseny, myć naczynia, wyżymać pranie i ścierać kurz z podłogi na rękach i kolanach.

Bogowie rozumieli potrzebę posiadania służby jeszcze lepiej od czarodziejów.

Opowieść o dalszych przygodach boga oraz wszystko, co wiąże się z sech'kellynami i serią katastrof, jakie doprowadziły do ich kradzieży i zakopania, należy do innego narratora i innego czasu.

Szczegół o kluczowym znaczeniu brzmiał następująco: bóg wracał po swoje dzieci.

* * *

Rozespany, dręczony bólem w rozmaitych częściach głowy Emancipor Reese, Mancy Niefartowny, podźwignął się powoli na kolana. Potem się zatrzymał. Przez kilkadziesiąt uderzeń serca cały świat wirował wokół niego. Wciskając twarz w wilgotną wiklinę, przesunął wzrok i ujrzał lewym okiem Benę młodszą, która ponownie przykucnęła naprzeciwko, unosząc nóż, na wypadek, gdyby miał skoczyć na nią w morderczym szale. Rzecz jasna, nie było to prawdopodobne. Mógł co prawda nagle skoczyć, ale tylko po to, by zwrócić resztki tak zwanej kolacji przygotowanej przez kucharza. Na tę myśl w jego głowie zrodziła się nadzwyczaj satysfakcjonująca wizja złośliwego

dziecka pokrytego cuchnącymi wymiocinami. Choć jednak była to przyjemna perspektywa, czaszkę Emancipora wypełniło ostrzegawcze echo palącego bólu.

Nie, tego rodzaju trzewna eksplozja wymagałaby od niego zbyt wiele ruchu. Zamknął oczy i odsunął się nieco od dziewczynki, wystawiając głowę za wystrzępiony brzeg kosza. Rozchylił powieki i zamrugał. Patrzył w stronę rufy.

Nadal była noc? Bogowie, czy nigdy się nie skończy?

Czarne, nisko wiszące chmury przesłaniały wszystko, co znajdowało się ponad wzburzonym morzem. Dhenrabi pruły fale po obu stronach, mknąc szybciej niż jakikolwiek statek. Cholera, nigdy dotąd nie widział, żeby te lewiatany poruszały się tak prędko.

Gdzieś na dole trwała walka. Jej odgłosy były absolutnie nieludzkie, a echa wstrząsały całym statkiem. Maszt kołysał się przy każdym uderzeniu o kadłub.

Na wodzie pojawiło się kolejne wybrzuszenie, tym razem prosto za *Słonecznym Lokiem*. Rosło, zbliżając się z każdą chwilą. Emancipor zobaczył Bauchelaina, który stał dwa kroki od rufowego relingu, rozstawiając szeroko nogi. Wpatrywał się w górę wody, w obu rękach ściskając miecz.

– Och – mruknął Emancipor Reese.

Z morskiej piany wynurzyły się dwie ogromne, pokryte łuską ręce. Dłonie zacisnęły się na relingu, łamiąc go jak gałązkę. Długie zakrzywione szpony wbiły się w deski pokładu. Potem pojawiła się ogromna gadzia głowa ociekająca kaskadami wody. Paszcza się otworzyła, odsłaniając wyposażone w stawy kły.

Cały statek zatrzymał się, zakołysał, przechylił niebezpiecznie ku rufie, unosząc dziób ku niebu. Monstrum wgramoliło się na pokład.

Wszystko to – cała scena z potworem i Bauchelainem, który rzucił się do gwałtownego ataku z błyskiem miecza – przemknęła przed oczyma Emancipora w tej samej chwili, gdy bocianie gniazdo i maszt pochyliły się

nagle. Coś uderzyło lokaja w plecy, wybijając mu powietrze z płuc. Chuda, wrzeszcząca przeraźliwie postać przetoczyła się po nim, zamiatając skołtunionymi włosami i wymachując rozpaczliwie kończynami, a potem wypadła z gniazda. Rzucił się naprzód, wyciągając rękę...

* * *

Gdy dziób uniósł się nagle, lisz i upiorne dziecko zwały się na deski trapu, druzgocząc je swym ciężarem. Tak się złożyło – niefortunnie dla owocu nienaturalnych prokreacyjnych poczynań Korbala Broacha – że w owej chwili lisz znajdował się na górze. Gwałtowny wstrząs połamał kolejno cały szereg kości, w tym również kręgosłup. Gdy żebra popękały, wszystko, co było luźno uwięzione wewnątrz monstrualnego ciała, wypadło nagle na zewnątrz. Płyny trysnęły na wszystkie strony: w ślad za nimi wyleciała niczym triumf człowieka cierpiącego na zaparcie górna połowa ciała, które utkwiło głęboko w mrocznym, wilgotnym świecie. Cętkowana Ptaszyna zakasłała gwałtownie, wypluwając grudki dziwacznej flegmy, zatoczyła się i zatrzymała w luce między kadłubem a połamanym trapem.

Lisz podniósł się ze zmiażdżonego ciała przeciwnika, unosząc pięści w geście triumfu. Odchylił głowę, jakby zamierzał zawyć z nieuzasadnionej radości.

Nawet najgłupszy uczonek wie jednak, że siły natury zawsze muszą dawać posłuch pewnym prawom. To, co spada w dół, musi potem unieść się ku górze. Tak przynajmniej zachowuje się wszystko, co pływa na morzu. Pokład uniósł się nagle i lisz wystrzelił w górę – to był przykład działania innego prawa, umożliwiającego zbudowanie takich urządzeń, jak na przykład katapulty.

Sękata, pełna twardych kości głowa, która zachowała niejake podobieństwo do głowy Cwanego Roztropka – lisz był w owej chwili aż nazbyt materialny – uderzyła z siłą tarana w deski fordeku. I ugrzęzła w nich.

Oślepiiony na chwilę przez wstrząs martwiak nie był w stanie zrozumieć krzyków, które nagle rozległy się wokół niego.

– Z kopa mu!

– Z kopa mu! Z kopa!

W głowę lisza uderzyły ze wszystkich stron buty o twardych podeszwach. Uderzenia złamały kości policzkowe, łuki brwiowe, szczękę, zuchwę, kość skroniową i czołową. Kop, kop, kop, łup, łup, łup! W końcu jeden z butów trafił w szeroko rozwartą, zębatą paszczę lisza.

A ten go ugryzł.

* * *

Gdy przerażająca istota odgryzła mu pół prawej stopy, Podmuch Piasta zawył, zatoczył się do tyłu, tryskając krwią, i zwałił się na pokład. Szczęki lisza przemiełiły palce jego nóg, brudne paznokcie kruszyły się na wszelkie możliwe sposoby. Na popękana, zdeformowaną głowę sypały się kolejne kopniaki. Żuł jego palce, tak jest, a także jedno z uszu. Drugie było już niemal całkowicie przeżute i słyszało tylko sączące się powoli płyny. Jeśli zaś chodzi o nos, czuł zapach błota. Zimnego, słonego, śliskiego błota.

Ktoś osunął się na kolana obok niego.

– Wsadź sobie nogę do wiadra! – zawołała Mipple. Brzydka, szalona kobieta roześmiała się paskudnie.

* * *

Warczący (i żujący) lisz cofnął się przed atakiem, szukając schronienia pod pokładem. Zamrugał powieką jednego z jeszcze funkcjonujących oczu i zobaczył Cętkowaną Ptaszynę, która znalazła krótki miecz Cwanego Roztropka i rzuciła się błyskawicznie do ataku, wbijając szeroką klingę

głęboko w pierś martwiaka.

Lisz wrzasnął przeraźliwie i odtrącił kobietę, uderzając na odlew sześcioma kończynami. Uniosła się, uderzyła w bok kadłuba i zwała się na dół.

Stworzenie wyrwało ostrze ze swej piersi i odrzuciło na bok. Następnie ruszyło do ataku na bezczelną śmiertelniczkę. Zatrzymało się jednak na chwilę, gdy coś dużego, co miało w ustach, ugrzęzło mu w gardle. Lisz zatrzymał się, zakrztusił i wypłuł przezutą masę składającą się ze skóry buta, mięsa, kości, paznokci oraz, wstyd przyznać, włosów. Potem spotkała go jeszcze większa zniewaga. Gdy potrząsnął głową, żuchwa mu odpadła i runęła z łoskotem na deski.

Ryk, który wyrwał się z rozwartej jamy gębowej, brzmiał raczej jak charkot, to jednak wystarczyło, by przerazić Cętkowaną Ptaszynę. Kobieta wrzasnęła ze strachu, cofając się na czworakach wzdłuż trapu. Minęła nieco jaśniejszą plamę widniejącą pod lukiem. Zmierzała w stronę rufy. Z pokładu – a także ze znajdującego się pod spodem skarbcza – dobiegały odgłosy zawziętej walki.

Lisz zmierzał za nią, groźnie unosząc długopalce, pazurzaste łapy, z których zwisały ochłapy mięsa.

* * *

Desperacki skok pozwolił Emanciporowi Reese'owi złapać Benę Młodszą za chudą kostkę, co powstrzymało jej upadek ku gigantycznemu demonowi gramolącemu się na rufę. Lokaj stęknął głośno, gdy ciężar dziewczyny omal nie wyrwał mu ręki z barku. Bena Młodsza łupnęła czołem o maszt, jej ręce uderzyły z trzaskiem o najwyższą reję...

W tej samej chwili dziób statku pochylił się i grotmaszt z bocianim gniazdem pomknęły gwałtownie do przodu. Coś uderzyło Emancipora w plecy. Wyschnięte, kościste kończyny tłukły go w głowę. Przewrócił się na

plecy, wciągając jednocześnie Benę Młodszą z powrotem do gniazda. Zaklął i uderzył łokciem grzechoczącego trupa, który go zaatakował. Łokieć wbił się w zapadniętą klatkę piersiową i zwłoki wypadły z gniazda...

* * *

Podmucha przetoczył się na plecy akurat na czas, by zobaczyć, że z nocnego nieba spada nań przerażająca starucha. Uniósł z wrzaskiem ręce, zasłaniając się w ostatniej chwili.

Sękaty, kościsty palec wbił mu się w lewe oko. Podmucha usłyszał trzask, jakby pękło winogrono. Krzyknął przeraźliwie, zasypując napastnika gradem ciosów. Zaczepnął tchu i jego usta wypełniły brudne, łamliwe włosy.

– Zabić to! – zawołał ktoś bliskim histerii głosem.

– Zabić to! Zabić!

Na Podmucha posypały się kopniaki, buty uderzały na oślep, łamiąc kości, martwe i żywe, bez różnicy. Zupełnie bez różnicy.

– Zabić to!

– To już nie żyje!

– To zabić to jeszcze bardziej!

Gdy but uderzył w bok zmaltretowanej czaszki Podmucha, rozbłysło nagle światło. Potem zapadła ciemność.

* * *

A w skarbcu, och, w skarbcu. U wejścia przed chwilą rozległa się seria szybkich kroków...

Korbal Broach wszedł do środka, zatrzymał się i rozejrzał wokół. Na podłodze wały się rozdarte strzępy workowej tkaniny. Briv, Briv i Briv przykucnęli za eunuchem. Szeptali coś do siebie, a przynajmniej jeden z nich

jęczał.

Sech'kellyny rzuciły się do ataku ze wszystkich stron. W jednej chwili półmrok i spokój, w następnej eksplozja aktywności. Trójka Brivów padła na deski pod razami kamiennych pięści. Kolejne pięści zasypały ciosami Korbala Broacha. Potężnie zbudowany eunuch stęknął kilka razy z zaskoczenia i zaczął oddawać uderzenia. Śmiertelnie białe istoty zachwiały się, skuliły pod łukowatymi ścianami.

Briv kuchcik uniósł wzrok akurat na czas, by zobaczyć, że wszystkie sześć demonów rzuciło się na eunucha.

I tak właśnie powinno być. W końcu to on tu dowodzi.

Zauważył nieruchomą postać drugiego z Brivów, złapał ją za kostki – to była Briv splatająca liny – i odciągnął od walki kolosów, która trwała pośrodku skarbcza.

Briv pomocnik cieśli podbiegł nagle do niego i złapał Briv za jedną kostkę.

– Hej! – wysyczał. – Briv zerwało włosy! Hej, to nie jest Briv! To Gorbo!

– Pewnie, że tak! – warknął Briv kuchcik. – Wszyscy o tym wiedzą!

– Ja nie wiedziałem!

Briv kuchcik znieruchomiał.

– To niemożliwe. Spałeś z nim!

– Tylko raz! Było ciemno! Niektóre kobiety lubią...

– Starczy tego. Pomóż mi go stąd wyciągnąć.

– A co z tą peruką?

– A co ma być?

– Hm, pewnie nic.

Trudno było powiedzieć, kto wygrywał, hm, nie, łatwo to było powiedzieć. Demony tłukły Korbala Broacha na kwaśne jabłko. To zdumiewające, że jeszcze się trzymał na nogach. Zdumiewające i bardzo fortunate, bo dopóki stał, demony nie zwracały uwagi na nich. Jeśli zdołają się przedostać przez próg, będą ocaleni!

* * *

Gdy tylko demoniczny bóg wysunął głowę nad reling, Bauchelain podszedł bliżej i ciął mieczem w pysk stwora. Coś z niego wypadło.

Lina, hak i ucho.

Ogromna, szponiasta łapa uderzyła na odlew. Bauchelain nie do końca zdołał uniknąć ciosu. Pazury przejechały po jego kolczudze. Czarne ogniwa posypały się na pokład niczym grad.

Bauchelain ciął przeciwnika mieczem w nadgarstek i poczuł, że klinga wbiła się głęboko, przecinając co najmniej jedną kość.

Bóg zawył.

Nekromanta ujrzał kącikiem oka drugą łapę, która uderzyła pionowo z góry. Uniósł miecz, próbując zasłony, która, niestety, okazała się niewystarczająca, by powstrzymać pięść poruszającą się z siłą młota kowalskiego spadającego z dachu wielopiętrowej kamienicy.

Pięść grzmotnęła w deski, łamiąc je, i Bauchelain nie stał już na pokładzie rufowym.

Wylądował pośród kaskady drzazg w samym środku skarbca.

Jeden z sech'kellynów skoczył na niego. Nekromanta uniósł instynktownie miecz i demon nadział się na sztych. Stworzenie krzyknęło przeraźliwie, jego pierś pękła jak kawał marmuru po uderzeniu kamieniarskiego dłuta.

Krzyk usłyszano na górze. Bóg ryknął gniewnie i zaczął rozwalać drewniany pokład.

Pięć pozostałych sech'kellynów uniosło wzrok. Wszystkie zapiszczały jak dzieci i natychmiast zaczęły się wspinać ku wciąż się powiększającemu otworowi. Wielka łapa sięgnęła w dół i homunkulusy wdrapały się na nią jak na drzewo.

Za drzwiami skarbca dobiegła kakofonia krzyków. Gęsto pokryty

krwawiącymi ranami Korbal Broach wstał, otrząsnął się, spojrzął przelotnie na Bauchelaina i opuścił skarbiec.

* * *

Cętkowana Ptaszyna wlepiła spojrzenie w zbliżającego się lisza. Próbowała krzyczeć, ale całkowicie straciła głos i wydawała z siebie dźwięki prawie takie same jak martwiak.

Briv, Briv i Gorbo wpadli na nią hurmem. Ulga na ich twarzach przerodziła się w jednej chwili w bezmyślne przerażenie, gdy tylko ujrzeli lisza, który nadal czał się przed nimi, jak zwykły to czynić nikczemne potwory.

W tej właśnie chwili – gdy spazmatyczne ruchy wszystkich tych pazurzastych, szkieletowych dłoni zapowiadały śmierć, gdy martwe, czarne oczy przywoływały wizję martwej, czarnej pustki, gdy ujrzała książęcy przodozgryz i usłyszała nosowy charkot, który zapewne miał wyrażać triumf – w tej właśnie chwili lisz odwrócił wzrok od tych, z których chciał uczynić swe ofiary.

Korbal Broach podszedł do niego, przechodząc nad nogami odrętwiałej z rozpaczki Cętkowanej Ptaszyny, uśmiechnął się i ujął w grubopalce dłonie zniekształconą głowę stworzenia.

Szarpnął nagle w bok. Rozległ się głośny trzask.

Potem pociągnął w drugą stronę, powodując zgrzyt.

Potem znowu w pierwszą stronę, i znowu w drugą, coraz szybciej i szybciej.

Ciało lisza odpadło od głowy z suchym jękiem i zważyło się na trap, grzechocząc kończynami, czołami, ustami i tak dalej.

Korbal Broach uniósł głowę przed sobą i odwrócił się z uśmiechem.

Zerknął na Bauchelaina, który stał w wejściu do skarbcza, usuwając drzazgi z ubrania.

– Popatrz! – pisnął eunuch.

– Widzę.

Korbak Broach wepchnął zmasakrowaną głowę pod pachę i ruszył w górę po schodach.

* * *

Emancipor Reese spojrział w dół, na wrak *Słonecznego Loku*. Och, całe to cholerstwo nadal utrzymywało się na wodzie, co było sporym osiągnięciem. Gigantyczny, gadopodobny stwór i jego blade młode zeszły ze szczątków rufy i zniknęły w straszliwych wodach Końca Śmiechu.

Kapitan Sater była pijana, leżała z rozrzuconymi nogami na pokładzie, wsparta plecami o schody. Kucharz siedział obok niej, deklamując dysharmonijne dzieło, tak genialne i głębokie, że tylko on był w stanie je zrozumieć. Albo przynajmniej udawać, że je rozumie, co dla tego świata – i dla wszystkich innych również – znaczyło to samo.

Nagle ujrzał Korbaka Broacha, który wyszedł z luku, niosąc coś pod pachą. Spróbuj zgadnąć, co to mogło być. Och nie, nie ma potrzeby zgadywać, ale i tak spróbuj. Po chwili wyszło za nim czterech pełnych ulgi marynarzy, a potem Bauchelain, który nie trzymał się na nogach tak pewnie, jak zwykle.

Na wschodzie niebo zaczynało już jaśnieć. Za chwilę słońce pomaluje morze na krwawoczerwony kolor, ale to będzie trochę spóźniony gest, prawda?

Za jego plecami rozległ się ochryply chichot.

– Matka zrobiła, co było trzeba zrobić – oznajmił głos. – Jesteśmy bezpieczne, dziewczyno. Tak bezpieczne, jak to tylko możliwe!

Emancipor obejrzał się za siebie, a potem westchnął.

Cóż za głupota.

Jęknął, zerknął po raz ostatni na Benę Młodszą, opuścił bocianie gniazdo i

zaczął schodzić w dół.

* * *

Korbal Broach spędził na pokładzie tylko krótką chwilę, po czym wrócił do ładowni. Po stu uderzeniach serca pojawił się znowu. Stękał z wysiłku, dźwigając coś ciężkiego i pokraczego, co wyglądało jak pęcherz. Stworzenie miało też setki obwisłych, szcurzych ogonków oraz maleńkich nóżek, podkurczonych po tragicznej śmierci, a także czarnych, matowych oczek, które nie widziały już grupki wytrzeszczających oczy ze zdumienia marynarzy. Korbal zaniósł truchło na fordek.

Wziął rzeźnicki hak, sprawdził węzły na obu końcach, przykucnął, nadział na hak masę mięsa, wyprostował się z głośnym stęknięciem i rzucił ją do morza. Rozległ się głośny plusk, a potem lina rozwijała się przez pewien czas.

Emancipor Reese przystanął w pewnej odległości od ocalałej reszty załogi i pani kapitan, z której rozdziawionych szeroko ust spływała strużka śliny. Zmarszczył brwi, spoglądając na swego pana.

– Hm, chce z niego zrobić przynętę...

Bauchelain skinął głową, a potem poklepał sługę po ramieniu. Emancipor skrzywił się z bólu, jaki przeszył jego posiniaczone ciało.

– Wydaje ci się, że nawet oszalały dhenrabi w okresie rui przepuściłby tak smaczny kąsek, panie Reese? – zapytał nekromanta.

Emancipor potrząsnął głową.

– Na pewien czas zdobędziemy holownik, który przyśpieszy naszą podróż – oznajmił z uśmiechem Bauchelain. – Im prędzej uwolnimy się od mętów Końca Śmiechu, tym lepiej. Nie sądzisz, panie Reese?

– Sądzę, panie. Ale skąd wiemy, dokąd zabierze nas ten dhenrabi?

– Och, wiemy to bardzo dokładnie. Na łęgowisko dhenrabich, rzecz jasna.

– Och.

– Trzymaj się blisko dziobu, panie Reese, i miej nóż na podorędziu.

– Nóż?

– Oczywiście. – Bauchelain znowu klepnął go z całej siły w to samo ramię. – Po to, by przeciąć linę w odpowiednim momencie.

Lokaj wyteńczył wzrok i zauważył, że naprężona lina opadła ostro w dół.

– A może by tak teraz, panie?

– Nie bądź głupi, panie Reese. Chyba zjem na dole śniadanie, o ile kucharz będzie chętny.

– Chętny? Ehe, panie, tego możesz być pewien.

– Znakomicie.

* * *

Podmuch Piasta otworzył ocalałe oko i ujrzał nad sobą twarz Hecka Urse'a.

– Ocknąłeś się, tak? – zapytał z uśmiechem Heck. – To świetnie. Daj, pomogę ci usiąść. Straciłeś więcej niż kubel krwi. Musisz się najeść. Kucharz przygotował dla ciebie specjalny kleik. Straciłeś uszy, nos, połowę stopy i masz mnóstwo połamanych kości. Kiepsko z tobą, przyjacielu.

– Kubel?

– Ehe, Podmuch. A nawet więcej. Widziałem ten kubel – odparł i włożył trochę brei w usta Podmucha Piasty.

Ranny zakrztusił się, stłumił odruch wymiotny, przełknął trochę, potem przełknął więcej i wreszcie zdołał zaczerpnąć tchu.

Heck Urse skinął głową.

– Już lepiej?

– Ehe. Kucharz jest prawdziwym poetą, Heck.

– Masz rację, przyjacielu. Absolutną rację.

* * *

Rozproszone, nie, rozrzucone niczym odpadki, dusze znowu zostały uwięzione we wbitych w drewno gwoździach.

– Mówiłem wam, że handlowe przedsięwzięcie byłoby lepszym pomysłem – odezwał się Baltro.

– Nie jestem jeszcze gotowy pogodzić się z nicością – wysyczał Wiwiset.

– O nie. Gdy tylko stąd ucieknę...

– Nigdzie nie uciekniesz – wtrącił jedyny głos (poza głosem Jhorligga, a tego nasłuchali się już pod dostatkiem, wielkie dzięki), który nie należał do żadnego z gwoździ. – Do Czerwonej Drogi wniknęły martwe prądy. Nasza szansa umknęła, umknęła na zawsze.

– Kim właściwie jesteś, w imię Kaptura? – zainteresowała się jędza Przynudziara.

– Sam chciałbym to wiedzieć.

– Idź sobie – zażądała jędza. – Nie potrzebujemy tutaj takich jak ty.

– Handlowe przedsięwzięcie...

– Coś mnie gryzie w śledzionę! – zawołał panicz Hoom.

* * *

Oglądany przez podrapaną kryształową soczewkę *Słoneczny Lok* prezentował się marnie i żałośnie. Potężny mężczyzna stojący na dziobie *Nierozumnej Zemsty* powoli opuścił lunetę. Odwrócił się i spojrzał na swych jedenastu braci oraz dwie siostry. Nie było wśród nich nikogo, kto byłby niski lub choćby średniego wzrostu, nikogo – mężczyzny ani kobiety – kto nie byłby potężnie umięśniony. Uśmiechnął się szeroko.

– Błogosławieni krewni, mamy ich.

Cała czternastka zaczęła szykować broń. Dwuręczne topory, dwuręczne miecze (a nawet jeden trójręczny, dzieło przesadnie ambitnego, lecz niezbyt

inteligentnego płatnerza z Miasta Myta), tasaki, kordy, buzdygany, młoty, cepy, halabardy, a także jeden bardzo groźnie wyglądający kij. Zbroje błyszcząły, jak zwykle, w porannym świetle. Wkładano hełmy, czy raczej wbijano je z całej siły na grubokościste czaszki. Z ust kilku mężczyzn o nieco większej niż zwykła domieszce jaghuckiej krwi sterczały posrebrzane kły.

Wokół nich tłoczyła się załoga. Wszyscy marynarze byli martwiakami, co pozwalało zaoszczędzić na żywności i wodzie. Nie musieli też spać. Z ładowni dobiegał ryk i warczenie ogromnych bestii, które tłukły o kraty klatek, oszalałe z potwornego głodu.

Mikrus Pieśniarz, najstarszy z całej rodziny i w związku z tym jej głowa, wziął swą broń – z jednej strony ta halabarda była wyposażona w kolec i sierpowate ostrze, z drugiej zaś wysadzany ćwiekami buzdygan, na którym wypisano czerwonymi literami słowo SATRE (Mikrus nie był za dobry w ortografii). Raz jeszcze omiół spojrzeniem braci i siostry.

– Mamy ich – powtórzył.

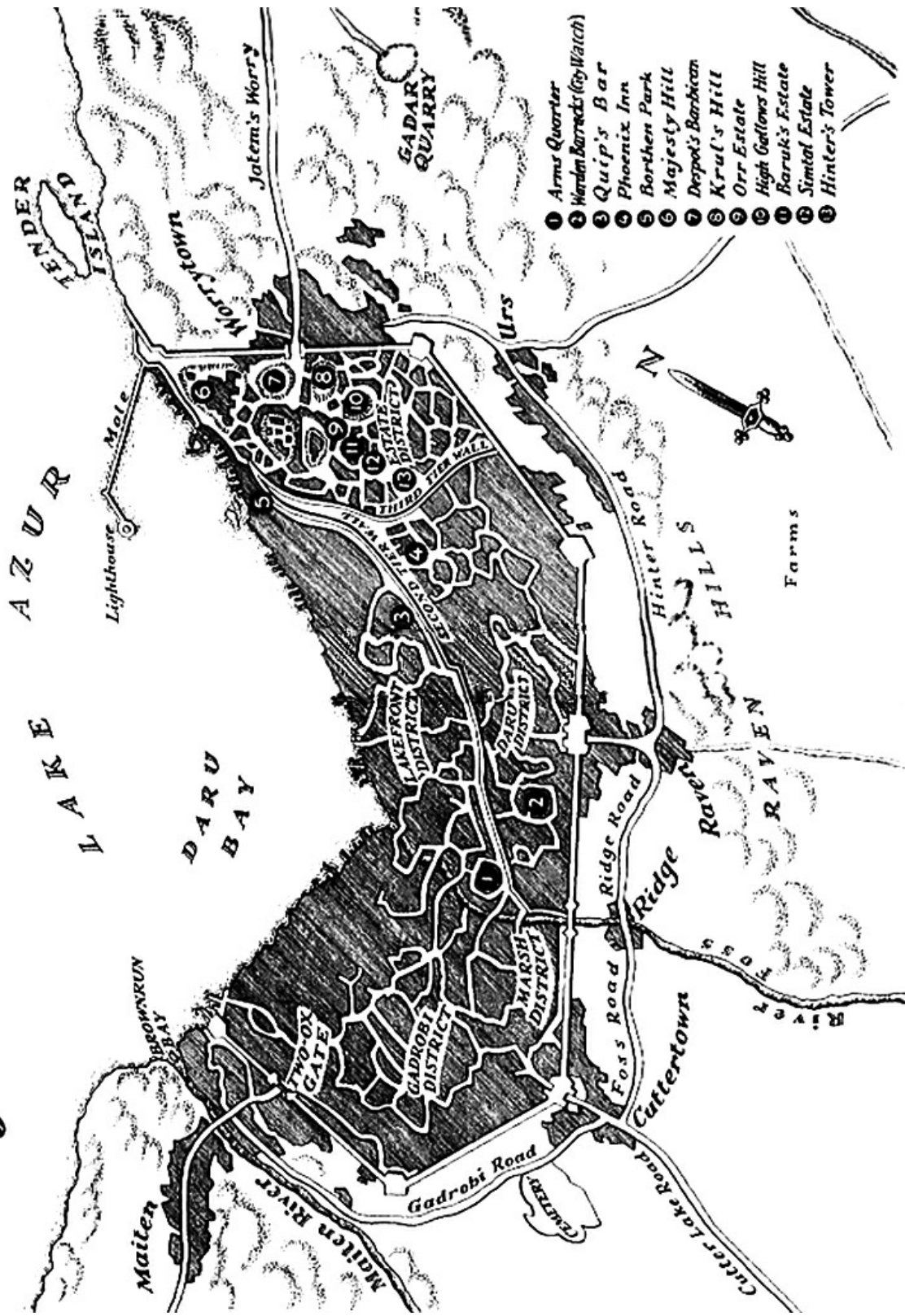
I znowu się uśmiechnął.

Wszyscy Pieśniarze zrobili to samo.

Jeden z martwiaków zauważył to i krzyknął przeraźliwie.

Darujhistan

SCALE
0 1/2 1m



- 1 Arms Quarter
- 2 Warden Barracks (Gy Watch)
- 3 Quip's Bar
- 4 Phoenix Inn
- 5 Borthen Park
- 6 Majesty Hill
- 7 Despot's Barbian
- 8 Krul's Hill
- 9 Orr Estate
- 10 High Gullows Hill
- 11 Baruk's Estate
- 12 Simtal Estate
- 13 Hinters Tower

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Męty Końca Śmiechu](#)

[Spis treści](#)